Nr. 2. Lwów, 15. Stycznia 1887. Rocznik VIII.

STRAŻNICA POLSKA

REDAKCYA i EKSPEDYCYA:
ul. Sykstuska, L. 37. wchód od Ossolińskich
ADMINISTRACYA:
Zarząd drukarni we Lwowie,
Rynek L. 9.
Nra. pojedyncze sprzedawane będą w księgarni Polskiej plac Halicki.

DWUTYGODNIK
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNY.
Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.
Numer pojedyńczy kosztuje 15 ct. i jest do nabycia w Administracyi i w księgarni Polskiej.

PRZEDPŁATA
„Strażnica polska“ kosztuje kwartalnie:
we Lwowie (bez przesyłki) 1 zł. 50 ct.
z przysyłką do domu . 1 „ 70 „
na prowincyi . . . . . 1 „ 75 „
za granicą . . . . . . 2 „ — „
Inseraty od wiersza (petit.) 5 ct.

OD REDAKCYI.

Dla uregulowania nakładu, upraszamy o jak najspieszniejsze nadsyłanie prenumeraty, która wynosi:

we Lwowie bez przesyłki,	zł.	1·50
„ z przesyłką do domu . .	„	1·70
na prowincyi	„	1·75
za granicą	„	2·00
Pojedyńczy Nr. kosztuje	„	—·15
Podwójny „ „	„	—·30
Rocznie na prowincyi	„ „	7·00
„ za granicą	„ „	8·00

Prenumeratę miejscową i zamiejscową prosimy przysyłać wyłącznie na ręce p. *Szczęsnego Bednarskiego*, Zarządcy drukarni p. A. Wajdowicz, we Lwowie, Rynek L. 9.

Wydawca i Redaktor
J. Nep. z Oleksowa Gniewosz.

Oświadczamy, że nikomu nie wysyłamy już drugiego Numeru, kto nie nadeszle prenumeraty.

Co nam czynić wypada?

Od wyjścia 1. Numeru „Strażnicy polskiej“ można powiedzieć że nic się nie zmieniło na widnokręgu politycznym, co już przedtem przewidzieć było można. Przybyło tylko kilka wyraźniejszych pewników, kto to usiłuje stawić „va banque“, aby wyjść z daleko niebezpieczniejszego położenia od samej wojny.

Kto zna obecnie stosunki w Rossyi, kto umie dosłyszeć to wewnętrzne a utajone przed krótkowidzącem okiem ludzkiem wrzenie i kotłowanie wulkanów podziemnych — ten zrozumie, że aby zapobiedz wybuchowi strasznemu, pomimo, że sztuka lekarska zarzuciła już puszczanis krwi, należy jej jednak upuścić jak najwięcej, aby osłabić zanadto gorączkowe tętna. Inaczej grozi apopleksya, lub zupełny rozkład ciała. Naturalnie, że wobec takiej ostateczności, lepsza wojna, upuszczenie gazów wybuchających.

Że ten eksperyment jest znowu w swoim rodzaju niebezpieczny, to także każdy zrozumie — i to tłumaczy momentalne wahanie, jak n. p. pozory do ustępstw w sprawie bułgarskiej. Są to jednak tylko macania pulsów Europy, a swoją drogą nie zaniedbuje się nic, aby podkładać miny pod nogi tych, z którymi się chce śpiewać razem: — „Pokój ludziom dobrej woli.“

Obecnie wychodzą szydła z worka, gdyż nie jest to już tajemnicą, kto podsyca żar w Czarnogórze, kto ją zarzuca karabinami — i dla jakiego celu. — Czy się to tylko dla zdobycia Bułgaryi robi? — Przecież Rossya nie pżtrzebowałaby w danym razie aż takiego alianta używać. Projekta te dopiero wtenczas wystąpią jasno, gdy Rossya z mandatem lub bez mandatu przystąpi do okupacyi Bułgaryi. Być może, że uczyni to w ostateczności dopiero, gdy już nie będzie miała innego punktu wyjścia.

Odezwanie się ks. Bismarka w Reichstagu berlińskim wywołało słusznie wielkie wrażenie, — gdyż całe jego przekonywanie, że uchwały żądane od parlamentu tylko na uzupełnienie armii i aby być pewnym na wszelkie możebne wypadki — czyta się zupełnie inaczej pomiędzy wierszami — i jeżeli kiedy, to dziś warunki pokoju nie przedstawiają żadnej pewności. Nie dziw więc, że i nasze społeczeństwo trawione jest goaączką, która je podzieliła na obozy.

Ci, w których organizmie sama wzmianka o możebnej wojnie — wywołuje wewnętrzną drzączkę obawy i strachu, — obóz ten nadrabiając miną, usiłuje się przyoblekać w fizyognomię niczem niewzruszenego spokoju i krocząc z białą rozwiniętą chorągwią zapewnia, że potopu nie będzie, gdyż gołąbki z różczkami oliwnemi w dzióbkach, zwiastują już teraz pokój na ziemi.

Drugi obóz nie chce się w żaden sposób dać złapać na te natchnienia jasnowidzących, — wierzy w wojnę jak w jedenaste przykazanie, i teraz już myśli, jak dać „nura“ i wypłynąć na jakiej wyspie bezplecznej — chociażby Oceanu Spokojnego. Ha! — cóż robić — różne są usposobienianatury ludzkiej. Nie zapieramy się, że i nam nie jest obojętne — co Bóg da: — pokój czy wojnę, — gdyż w naszem położeniu czuwać zawsze potrzeba pilnie jak żórawiom.

Czy dla nas obecnie jedno lub drugie jest korzystniejsze — i o tem nic orzec nie można. Zresztą doświadczenie nas poucza, że r e z y g n a c y a nie powinna nas ani na chwilę opuszczać, Lecz to nie oznacza, abyśmy się jedynie na loś szczęścia zdać mieli i zawczasu nie postanowili silnie, co nam w najgorszym wypadku czynić wypada, to jest w razie wojny, gdybyśmy przez nią byli dotknięci. Nie myślimy tu naszym przyjaciołom politycznym narzucać apodyktycznie naszych przekonań i poglądów. ale zaznaczamy to, cośmy z poważnych i różnych warstw społecznych zebrali i zestawili. Otóż przedewszystkiem nie wolno nam w ż a d n y m w y p a d k u upadać na duchu, a tem samem poddawać nadzwyczajnym obawom, które zwykle obraz wojny budzi, gdy ta dotyka nas bezpośrednio. Względną zresztą rzeczą jest i to, czy wróg, który ma nas najść, przedstawia się jak smok wszystko pochłaniający, — a n a p a p i e r z e liczą się jego bajeczne zastępy, które może wyprowadzić w pole.

Nie zapominać o tem należy, że wielka rozległa gospodarka ma również wiele obowiązków do spełnienia i już z samego prawa natury musi siły swoje rozdzielać i na każdym punkcie pilnować tej gospodarki. — A zresztą, i nasze stare

Pożegnanie Niemna.

(Pisano na stacyi w O r a n a c h przy wyjeździe z Litwy 10. Listopada 1868.)

Żegnam Cię droga Litwo smutna i milcząca,
Żegnam twe dzikie bory, twe stepy bez końca!
Żegnam cię! i serdeczną łzą nad tobą płaczę,
Bo cię już pewnie nigdy, nigdy nie zobaczę.
Nie odetchnę już więcej powietrzem twem czystem
I nie ujrzę gwiazdeczki w Niemnie przeźroczystym.
O Niemnie! ja osobno pożegnać cię muszę,
Boś ty wstęgą srebrzystą opasał mą duszę;
Bo jak łza przeźroczyste twoich fali tchnienie
Obudza w sercu dawnej przeszłości wspomnienie.
Czy pamiętasz Niemenku, tyś był naszym wrogiem,
Kiedy Litwa walczyła z chrześciańskim Bogiem!
Gdy się teraz spoglądam na twe cudne fale,
Ty na nieprzyjaciela nie wyglądasz wcale:
A przecież byłeś wrogiem strasznym tego krzyża,
Co nas w niebo podnosi i do Boga zbliża.
O bo też strasznych do nas słano apostołów,
Co w serca zamiast wiary, lali wrzący ołów.
To też gdy nad twym brzegiem stado chciwych
[sępów
Stanęło pod postacią poważnych zastępów,
Ty wierny sprzymierzeńcom i pogańskiej Litwie
Urągałeś swym szmerem Krzyżaków modlitwie;
A słysząc jak wróg w imię Boga, krzyża, wiary,
Napełniał krwią i jękiem nadniemnowe jary,
Poprzysiągłeś z nim toczyć bój zażarty, srogi,
I bronić do ostatka Krywejtowe bogi. —
Kiedy noc pokrywała chciwe łupów szyki,
Gdy pod krwawe namioty legły wojowniki,
Ty z nadbrzeżnej rośliny wyssawszy cykutę,
Niosłeś rankiem Krzyżakom napoje zatrute
I słałeś w mgle wieczornej atomów mirjady,
By w płuca nieprzyjaciół tchnęły śmierci jady.
Z echem pieśni krzyżackich twe wzburzone fale
Jęczały dzikie zwrotki ku Perkuna chwale.
I tak ciągle a ciągle toczyłeś bój z tymi,
Co nosić godło krzyża nie byli godnymi.
Aż przyszedł czas, że scichły hasła Niemców krwawe,
Ponieśli z sobą łupy, przekleństwa i wrzawę,
A Niemen z tchnień zatrutych oczyszcza swe fale
I nad zgonem Litwinów krwawe wodzi żale.
Księżyc jasny posrebrzał niedostępne jary,
Gdzieniegdzie połamany sterczał symbol wiary,
Ciemne bory szumiały tajemniczym dźwiękiem,
Mieszając smutne głosy z wodnych ptaków jękiem.
Czasem z tych ciemnic boru migła błyskawica:
To kapłani pilnują pogańskiego Znicza.
A w tem, z ciemnych zarośli, puszcz i dzikich kniei
Piękna jak miłość, jasna jak promyk nadziei
Wybiegła cudna postać, nad Niemnem stanęła,
Z liców lśniącą zasłonę lekko odsunęła
I rzecze: — „Dążę z ziemi, co Polską się zowie,
Obcych mnie krajów do niej przywieźli posłowie;
Tam zostawiłam myśli, duszę i kochanka;
Teraz mam być Jagiełły żona i poddanka.
Mam nawrócić do wiary synów dzikiej Litwy
Nauczyć ich miłości, poświęceń, modlitwy.
Za moją miłość, spokój, za rozkoszną dolę,
Polacy ofiarują mi poświęceń pole, —
I przyjmuję ofiarę, chcę Litwy zbawienia,
Chcę spokoju mej Polski, ludów połączenia.
A Ty Niemnie, czy będziesz moim sprzymierzeńcem?
Czy chcesz złączyć narody swym srebrzystym wień-
[cem?
O nie bądź srogim Niemnie, złącz się z Polski ce-
[lem,
Bądź krzyża wojownikiem, ludów przyjacielem!
Jeszcze głos jej srebrzysty na powierzchni fali
Drżał i echem przenikał głębinę otchłani,
A już Niemen w pokorze stopy świętej zmywał
I bory, puszcze, knieje, do przysięgi wzywał.
Wnet też echa zadrżały, roznosząc te słowa:
„Niech żyje Polska, Litwa, Jadwiga królowa!“
I znikła z nad fal Niemna cudna postać w bieli,
Jak znikają w snach naszych niebiescy anieli.
A tyś drogi mój Niemnie pozostał nam stały,
Podobny z głębi ducha do tej Litwy cały,
Co kiedy znienawidzi, to już sercem całem,
A kiedy raz pokocha, to duszą i ciałem.
A dziś, kiedy cię żegnam, ty kochanku Polski
Płaczesz nad jej niedolą — dzielisz ciężkie troski.
Łączysz dłonie Polaków z dłonią Litwy krwawą,
A fale twoje płyną tak smutno, tak łzawo!
Nad twym brzegiem znów stoją chciwe łupów szyki
I z wód twych znowu czerpią napój wojowniki.
I znów łupem, przekleństwy i morderczą wrzawą
Rozniecają w Twem łonie zemstę straszną, krwawą.
Lecz już dla nich w roślinach nie znajdziesz cykuty,
Bo Polska z nich wyssała cały jad zatruty

przysłowie coś znaczy, które mówi: — że diabeł nie jest zwykle tak straszny jak go malują.

I w tym kierunku, pouczają nas dzieje wojen bardzo wiele.

Umiejętne, szczere, odważne ocenienie i użycie sił własnych — oto najsilniejsza tarcza obronna, mianowicie, jeżeli się broni dobrej sprawy.

To też i dla nas powyższe hasła powinny się stać w danym razie, jedynym przewodnikiem myśli, silnej woli i męstwa.

Nie wolno lekceważyć tej opieki i tych swobód jakie nam dane są w udziale, ale baczmy na to, aby, gdyby się okazała, potrzeba, opieka ta, miała środki do własnej naszej obrony. — Te środki zaś zupełnie wystarczają, jeżeli piersi nasze rozgrzeje dawne dziejowe męztwo, gdy w chwili rzeczywistego niebezpieczeństwa, cały kraj, stanie się jednym obozem i jedną armią — a w szeregach tejże, stanie każdy — od młodzieniaszka do starca. — W ostateczności, miasta, wsie i chaty niech się każde zamieni w niezdobytą Plewnę. — Kto się takim duchem ożywi, ten ze spokojem będzie oczekiwał, co nam Bóg da w udziale: — „Pokój — czy wojnę“.

J. N. z O. G.

Niepoprawni.

Zaprawdę, spotykają nas nieomal na całej linii nieustanne dopusty Boże, a co najsmutniejsze, powodowane przez tych głównie, którzy sobie przywłaszczają przewodnictwo w kraju, narodzie i jego przyszłości.

Oto podajemy za innemi pismami, a mianowicie za „Kurjerem lwowskim,“ obraz oparty na cyfrach prawdziwych, jak to nam się ziemia ojców usuwa z pod nóg, a dawne rody idą po prostu na żebry. — Cóż tu mówić o innych częściach ziem polskich, jeżeli w Galicyi, gdzie nas nikt nie wywłaszcza po ukazu, gdzie nam nikt nie zabrania nabywać ziemi własnej, — a przecież wywłaszczanie się samowolne przybiera coraz straszniejsze, coraz więcej zatrważające rozmiary, A czy jest jakikolwiek środek, aby niepoprawnych marnotrawców powstrzymać w ich występkach i uchronić od przepaści? — Zdaje się, że na to niema lekarstwa i że niestety Bismark może słusznie powiedział, że dla tych niepoprawnych szulerów jest tylko jedno miejsce przybytku — jaskinia Monaco.

Oto znowu nowy przykład: Pewien hrabia z Galicyi zachodniej P....,.., mając nagłe spłaty, które go cisnęły, podniósł z Towarzystwa kredytowego ziemskiego pożyczkę 80.000 złr.

I jakżeż tych pieniędzy użył? Oto dobrawszy sobie we Lwowie do siebie podobnych duchem kilku kandydatów na bankrutów, którzy już w krótkim czasie krocie przetrwonili, przegrał do nich całą pożyczkę 80.000 złr.; — a gdy bez tych pieniędzy nie bardzo by było przyjemnie powracać do domu, nie pozostawało nic innego, jak wnieść do Towarzystwa kred. ziemsk. o nową znowu pożyczkę — 80.000 złr.

Zdaniem naszem, ten co przeszulerował i ci co wygrali od niego, należą pod jeden pręgierz opinii publicznej, bo taki żywot — to zbrodnia i ohyda imienia polskiego. Niech nam nie zarzuca nikt, że „kalamy własne gniazdo.“ — O! — gdyby to było w naszej mocy, tobyśmy głosowali za prawem, aby takich niepoprawnych piętnować rozpalonem żelazem na bezwstydnych czołach. Widocznie tacy wyrzekli się już bojaźni Boga, a o sumieniu i jakiemkolwiek poczuciu szlachetnem nie mają nawet pojęcia.

Ale czy to fakt odosobniony? Gdzieżtam — taka ohyda powtarza się nieustannie. Gdybyśmy zestawili cyfry przeszulerowanych pieniędzy, chociażby tylko z kilku ostatnich lat, to sumy te sięgają już milionów. Jakżeżby ten kraj wyglądał, gdyby te sumy były wzięte na szlachetniejsze cele, — jakżeżby dziś Galicya wobec praw samorządu, jaki mamy w ręku, inaczej wyglądała! — A Galicya ta miała i ma przecież wobec innych ziem polskich wielkie obowiązki — bo świecenia im duchem i przykładem, jak pracować dla lepszej przyszłości. I jakżeż się z tego świętego zadania wywiązujemy, będąc w posiadaniu całkiem innych swobód, aniżeli nieszczęśliwi bracia nasi? — Oto wstyd i upokorzenie rumieni lica każdego Polaka, w którego duszy jeszcze choć jedna iskierka patryotyzmu tleje, — a serce krwią żalu płuży.

Drwiono z „Strażnicy polskiej“ — lub obrzucano ją błotem, gdy nawoływała do karności narodowej, — do uczenia się katechizmu narodowego, — boć trudno patrzeć bez trwogi i przerażenia, jeżeli karty tych prawd ewangelicznych brukają się po norach zepsucia, i są nietylko lekceważone, ale nogami kopane.

Gdzież to nas dziś doprowadzili fabrykanci tego cuchnącego błota i kału? — Gdzie nas dalej doprowadzą, jeżeli powaga opinii publicznej nie powstrzyma ich na drodze tego rozgnojenia umysłu i duszy, — jeżeli dzisiaj nie powstrzymują ich nawet te groźne chmury, które na całym widnokręgu Europy się gromadzą, a nad głowami naszemi może najwięcej?

Czy tacy niepoprawni, będą jeszcze mieli na tyle odwagi — aby stanąć mężnie w obronie tych praw i swobód narodowych — jakie posiada ta jedyna część ziemi polskiej? — Któż nam poręczy, że ci „niepoprawni, — zamiast nadstawiać mężnie piersi, nie drapną z pola walki, lub niewyjdą z chlebem i solą, aby śmiertelnemu wrogowi lizać stopy rozpocząć z nim nowye frymarki i szachereki? — Nie! — niepowrawni panicze! — Ci których raczycie nazywać „warchołami,“ inaczej dziś czują i myślą. — „To warcholstwo“ — stanie murem żelaznym — i będzie bronić tych praw, jakie posiada, do ostatniego tchu. — Oto nasze hasło! któremu się nie sprzeniewierzymy. Z odwiecznymi wrogami nie będziemy paktowali i żebrali ich łaski. — Pozostawiamy to potomkom Targowicy. — Dla warchołów, nie jest rzeczą obojętną — kto im panuje i gdzie ich obecna pielesza narodowa.

Ale wróćmy jeszcze do pierwszego założenia „o niepoprawnych.“ — Ten sam duch ale szatanów, który się pod maską patryotyzmu tak rozwielmożnił — zrzuca już larwę jako niepotrzebną i na wielkopolskiej ziemi. — Oburzeniem przejęło nietylko Polskę, ale uczciwsze społeczeństwo Europy — wywłaszczanie Polaków w Poznańskiem. Gorąco bijące bratnie serca, niedając za wygranę, wołają: — „niedajmy się! brońmy się sami!“ — „zakładajmy bank narodowy! — I często biedak od ust sobie odejmuje suchy kawałek chleba, aby złożyć na ofiarę grosz wdowi; — cieszy się w duszy, że chociaż grudkę — piędź ziemi ojczystej uratuje. — Lecz jakież go natomiast okropne rozczarowanie czeka, gdy go dochodzą takie hiobowe wieści z Poznania: — „**Bank kwilecki, Potocki i Spółka**, instytucya, która stanęła **zbiorowemi siłami**. aby pomagać naszemu rolnictwu i przemysłowi, a nie komisyi kolonizacyjnej, aby pomagać do utrzymania ziemi polskiej w ziemiach polskich, — a nie przyczyniać się do jej z tych rąk wyzuwania, bank ten, nabywszy przed kilku miesiącami wieś Radłowo pod Pakością, od pp. Silewiczów, obejmujący 2900 morgów, sprzedał — komisyi kolonizacyjnej morg po 165 marek.

Ofertę złożono komisyi kolonizacyjnej już przed 3 miesiącami — później ją cofnięto — aż nareszcie się powtórnie zdecydowano i sprzedano.

To infamia! — która się niczem usprawiedliwić nieda.

Dyrektorem banku „Kwilecki Potocki i Spółka“ jest **Mieczysław Łyskowski.**

I któż to jest ten p. Łyskowski? Oto ten który się narzucił Wielkopolsce przy pomocy wpływowych, a podobnych jemu sojuszników — na apostoła pracy organicznej. — Operacye jego spełniane na Wielkopolsce, są znane, a był potężny, mając w swem ręku kasę.

Rrzed dwoma laty, pisywał listy na „**kanalię poznańską**“.

W r. 1885, wygotował manifest za pomocą którego, chciał ogłosić **banicyę** na

ś p. Władysława Niegolewskiego!

On to temu niezapomnianemu obywatelowi patryocie zatruł ostatnie chwile żywota, — a bodaj czy i nie ukrócił.

Nie pierwsza to szacherka M. Łyskowskiego z Niemcami, gdyż on, nie kto inny, nabywszy od ś. p. W. Niegolewskiego wieś Morawnicę, sprzedał ją Niemcowi.

Ten sam M. **Łyskowski** z **Franciszkiem Dobrowolskim** redaktorem „Dziennika poznańskiego“ — od lat kilkunastu pracują razem nad ucywilizowaniem Wielkopolski — i nauczeniem jej właściwego im patryotyzmu. — Jeden uczy pracy organicznej, a drugi politycznej. W takim to celu F. Dobrowolski, aby przygotować sobie następcę — wysłał swego syna na edukacyę do — Petersburga i trzymał go tam tak długo, aż tenże syn życiem tę naukę przypłacił.

Przypomną sobie dawniejsi czytelnicy „*Strażnicy*“ — w jaki sposób ten sam p. Franciszek Dobrowolski napadł na nas w „*Dzienniku poznańskim*“ — odsądzając od czci i wiary za to — żeśmy już wtenczas ośmielili się osądzić wszystkich jego politycznych przyjaciół i niestety jakby wieszczym duchem przepowiedzieć skutki: „jeżeli tam zapo-

---

I w konaniu, boleściach, przybita, zraniona,
Ku konającej Litwie wyciąga ramiona.
Niemnie! Niemnie mój drogi, w twą modlitwę wierzę,
Bo ty dzień i noc szemrzesz za Polską pacierze.
O módl się dla narodu o siłę i męztwo,
O duchowe, szlachetne nad wrogiem zwycięztwo!
Módl się o ludzi wielkich w życiu, w pracy, w czynie,
Którymby pięknie było w męczeństwa wawrzynie!
Módl się... ach nikniesz mi już, niknie smutna Litwa,
Na ustach mi zamarła zaczęta modlitwa!
Bo widzę lat pustynie od krańców do krańców,
A serce mi powtarza: „Patrz, to kraj wygnańców!“

Paulina St.

DAWNIEJSI AKADEMICY POLSCY.

napisał

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

(Ciąg dalszy).

Otóż na żadnym uniwersytecie nie było dla akademików polskich takich sposobności do zabaw, a nawet hulaszczego życia, jak w Wrocławiu; lecz pomimo tych pokus poczucie obowiązków kładło i tu tamę nadużyciom i nigdy nie brakło poważniejszych kolegów, którzy nawoływali do porządku, pracy — i byli słuchani.

W czasach, o których piszę, spotykało się na uniwersytetach pomiędzy akademikami oryginalne i ciekawe osobistości; a nie byli to młodzieńcy, ale dojrzali mężczyzni, bo nie jeden z nich liczył 30—40 lat, a nawet więcej. Znani oni byli — że tak powiemy — od kilku pdkoleń na uniwersytetach, jako rzeczywiśei akademicy, bo jako tacy siedzieli po 10, 15, a nawet po 20 lat na uniwersytetach. Niemcy nazywali ich „bemooste Häupter“ — co znaczy po polsku — mchem pokryte głowy, recte starcy. Bywali pomiędzy nimi, t. j. Niemcami, starzy „Bursze“ w całem tego słowa znaczeniu, którzy zwykle żyli na koszt młodych kolegów, a szczególniej „Fuchsów.“ O studyach akademicznych nie było u nich już dawno mowy, a często nawet zrywali zupełnie z postępem wiedzy. Byli to w całem tego słowa znaczeniu łobuzy, którzy junakieryą swoją i hulaszczością zdobywali sobie byt.

Otóż i pomiędzy akademikami Polakami znajdywały się podobne okazy, lecz z przyjemnością zapisujemy, że charakterystyka tych ludzi była zupelnie odmienną. Pomimo niektórych wad i nawyczek, byli to ludzie dziwnie szlachetni, którzy bez młodzieży nie umieliby żyć, a wskazując właściwe cele żywota, oddawali im znakomite usługi. Taki starszy towarzysz, kolega, — była to powaga nie lada.

Najwybitniejszą jednak rolę odgrywał przez długie lata, bo aż do r. 1846. Piotr Dahlman, literat i filozof. Pozostawił on nie wiele, ale cennych pamiątek po sobie w literaturze, a pomiędzy innemi bardzo wiele prac, rozrzuconych wówczas po pismach polskich, szególniej w „Tygodniku literackim,“ wychodzącym w Poznaniu od r. 1838 do 1845 pod redakcyą Antoniego Wojkowskiego. (Pismo to jest jednem z najcenniejszych, jakie w owych czasach istniały, a pisały doń najpierwsze znakomitości naukowe ówczesne.) Napisał i wydał krytykę filozofii Libelta, tragedyę 5-aktową pod tytułem „Maryna Mniszchówna.“ za którą Jezuici zzucili na niogo formalną klątwę.

Piotr Dahlman byl rodem z Górnego Szląska i synem niezamożnego kolonisty. O własnych siłach skończył szkoły średnie w Księstwie Poznańskiem, o ile pomnimy w Lesznie i w Poznaniu. Od pierwszej młodości uznawał się głośno za Polaka a nie Niemca. Uczęszczał na uniwersytet w Berlinie, razem z Karolem Libeltem, dr. Karolem Marcinkowskim, Teofilem Małeckim, Jędrzejem Moraczewskim i innymi. Słuchał głównie filozofii; a gdy nadeszła do Berlina wieść o powstaniu listopadowem, wraz z wyżej wymienionymi udał się do do Królestwa Polskiego i stanął w szeregu pułku t. zw. „Jazdy poznańskiej.“

Po ukończonej nieszczęśliwej kampanii, w której bijąc się dzielnie, nie chciał przyjąć stopnia wyższego nad podoficerski, po przejściu granicy i złożeniu broni, uwięziony był czas pewien w fortecy Magdeburgskiej, poczem nie namyślając się długo pojechał do Wrocławia i tam jako student rzeczywisty zaczął uczęszczać na uniwersytet. Na każde wakacye przyjeżdżał do księstwa poznańskiego, lub odbywał podróże piesze po ziemi szląskiej,

znaną zostaną „karność narodowa“ i „katechizm narodowy“.

Ten sam Franciszek Dobrowolski, znakomity konstruktor złotych mostów z Polski do Moskwy, napadł przed kilku dniami znowu — „warchołów lwowskich w „*Dzienniku poznańskim*“ i tak pisze:

„Inny na widowni galicyjskiej, późniejszy nieco, małej doniosłości, a przecież charakteryzujący nasze usposobienie wypadek przedstawia owo entuzyastyczne przyjęcie przejeżdżającego przez Lwów ks. Aleksandra Battenbergskiego.

Demonstracya owa lwowska jakże znów nasuwa nam konieczność przypomnienia prawdy, iżby czas był nareszcie, aby improwizowani, nieupoważnieni prz‑z nikogo politycy brukowi nie urządzali zbytecznych całkiem demonstracyi, które nie przynosząc nam żadnej, choćby nawet moralnej korzyści, zapisują się na karb całego społeczeństwa narodowego i szkodzą mu najniepotrzebniej.“

Od kogoż to mieli „brukowi politycy lwowscy brać pozwolenie? — Czy od niego, lub takich samych ekspozytur politycznych jak on?

Sprytny jako neofita F. Dobrowolski, nie mogąc zamilczeć o sprzedaży Radłowa przez swego najserdeczniejszego sojusznika, wymienił tylko firmowych: — „Kwilecki, Potocki i Spółka,“ zamilczając troskliwie nazwisko głównego czynnika i faktora — Mieczysława Łyskowskiego, bo mu może zresztą nie pozwalało na to zapewne — porękawiczne.

Oto tacy ludzie wzięli w monopol na obszarach ziem polskich patryotyczne kierownictwo, tak samo jak każdą inną arendę.

Jakich sojuszników i wspólników ma ten F. Dobrowolski i u nas, to dosyć czytać w „Dzienniku poznańskim“ korespondencye ze Lwowa, znaczone „|=|⁻|“.

Tacy to apostołowie pseudo „narodowi“ — „trybuni ludu“ przygotowali sobie całe legie, które zapomniawszy o Bogu, o przeszłości, a uzbroiwszy się w miedziane czoła, sprzedają i frymarczą ziemię ojców, przyszłością narodu, — tak samo, jak się sprzedaje stare buty dziurawe pierwszemu lepszemu handełesowi.

To też gdy dotyczas tylko pojedynczo dochodziły wieści o tem niecnem szacherstwie, obecnie nadchodzą zszeregowane sprawozdania i tak:

„Wieś Węgierki w Wrzesińskim kupiła ostatecznie komisya kolonizacyjna od Polaka Gongiego za 384,000 marek. Wieś obejmuje 1826 mórg.“

„Wieś Bobrowo, własność p. Czapskiego, położona w powiecie brodnickim, przeszło 3 tysiące mórg roli, kupiła komisya kolonizacyjna, żeby ją użyć pod kolonistów niemieckich. Wieś sprzedano za bajecznie wysoką cenę, bo za 600.000 marek, a na subhaście poszłaby najwyżej za 160.000 marek, a i ta cena byłaby za wysoką, jak tu w okolicy mówią ludzie, co znają Bobrowo.

„U nas pójdzie wnet tak dalej. Nawet tacy, którzy dobrze na wsiach stoją, gotowi są do sprzedaży ziemi polskiej na kolonizacyę. My się zbytecznie przed tem nie strachamy, bo tu Niemcy już mnóstwo wsi polskich wykupili, a lud, chwała Bogu, jeszcze oddycha polskim duchem.“

„Donoszą nam, że są wszelkie widoki, iż wieś Obra pod Wolsztynem dostanie się na własność komisyi kolonizacyjnej.

W tym celu robią się od dawna „starania“ nie z jednej, ale z obu stron.

Jak się zdaje — donosi nam nasz przyjaciel — komisya ma na celu nie tylko, żeby licznych chłopów niemieckich osadzić na dawnych wsiach polskich, ale w pierwszej linii żeby skupić panów polskich i pousuwać ich z powiatu. Nic też tu nie słychać, czy, jakich i ile kolonistów ma być na skupionej wsi osadzonych. Głównie chodzi o to, żeby się z panami polskimi uprzątnąć w owiecie.

O ile mi wiadomo — dodaje nasz przyjaciel — ten i ów pan polski wcale nie jest od tego, — i owszem, byle mu za wieś dobrze zapłacono.“

Wobec tak dosadnich faktów, należałoby się rzeczywiście zastanowić, gdy naród składa grosz na Bank narodowy, — jak ta ofiarność ma być użyta: — czy na ratowanie większych właścicieli, — czy też podnoszenie kmieci rolnych i im tylko przychodzenie z pomocą do nabywania więcej ziemi; — dla „niepoprawnych“ zbyteczna litość i rozczulanie się nad nimi. Działając na rzecz ludu, powstrzyma się wychodźstwo do Ameryki.

Przedewszystkiem jednakowoż byłby czas, aby Wielkopolanie obliczyli się z takimi Łyskowskimi i Dobrowolskimi, a zastąpili ich innymi ludźmi.

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

Odprawa.

W jaki ciekawy sposób zajmują się w Rossyi wojną z Austro-Węgrami, i jakim tam jadem zieją różni „*Geroje*“ — posłuchajmy, co podaje „Kraj. — Ale cóż, Moskalą by rozsadziło, gdyby Polaka nie ukąsił.

„Kto są nasi wrogowie?“ Pytanie to w przewidywaniu wojny z Austryą, zadał sobie niejaki p. Kornijewskij w „Nowostiach“. Ze wszystkich narodów, wchodzących w skład dualistycznego państwa, najzawzięciej zdaniem p. K. walczyć będą z Rosyanami Węgrzy, pamiętający rok 1848. Niemcy i Włosi zbyt przejęli się duchem kosmopolityzmu, aby mogli być groźnymi na polu bitwy.

„O tem, że polacy będą się z wami bili z rozkoszą — pisze dalej korespondent — wątpić, rozumie się, nie można. Napaść na bezbronną wioskę, ściągnąć z niej kontrybucyę, rzecz to ułanów polskich. O ile jednak wytrwałości okażą oni w prawdziwym boju, oto dopiero co jest pokryte mrokiem niepewności, tembardziej, że ułani ci pod Sadową popisali się wcale nie wspaniale. Podczas, gdy Węgrzy bili się zażarcie, Polacy zostali w jednej chwili zgnieceni przez kirasyerów pruskich i sromotnie uciekli“.

W dalszym ciągu przeglądu pan K. potrąca o Rusinów i utrzymuje, że ci niechętnie będą walczyli przeciwko Moskalom, w których przywykli widzieć nie wrogów, lecz raczej oswobodzicieli. (!) Mimo to, o *zdradzie* nawet nie pomyślą i „polegną za króla i cysara, którego kochają nadzwyczajnie“. Słowacy, choć zapewniają co innego, „nie żywią wszakże ku nam żadnych szczególnych uczuć i bić się z nami będą doskonale“. Nie lepiej też spiszą się i Czesi: dzienniki ich bowiem już i teraz cieszą się z postępów katolicyzmu w Bułgaryi i z upadku wpływu rosyjskiego w tym kraju. Nawet platoniczni stronnicy Rosyi nie złamią przysięgi wierności i na pierwsze wezwanie monarchy, zwrócą się przeciwko „matuszce — Moskwie“, którą wyobrażają sobie jako worek z pieniędzmi. Serbowie i Chorwaci nie znają Rosyi i nie uznają żadnych węzłów pomiędzy nią i sobą; trudno więc przypuścić, aby przystępowali niechętnie do Walki z Rosyą.

„Jednem słowem (kończy pan Korn.) od tych wszystkich *bratuszków* powinniśmy spodziewać się nie uściśnień, ale silnego odepchnięcia. Trzeba więc, abyśmy w razie wojny, pierwsi przeszli granicę, a wtedy, po odniesieniu walnego zwycięztwa z naszej strony, „uczucia braterskie“ ukażą się może na scenie.

Korespondent, o ile się zdaje, zapatruje się zanadto pesymistycznie.“

Otóż pomijamy przedewszystkiem i wprost nie chcemy się nad tem zastanawiać, co przez to chcą powiedzieć główni konstruktorzy „złotych“ mostów w redakcyi „kraju“ — gdy piszą:

„Korespondent o ile się zdaje — zapatruje się nader pesymistycznie“.

Nam się zaś zdaje, że właśnie „Kraj“ zapatruje się nader optymistycznie, bo gdyby rzeczywiście przyszło do wojny pomiędzy Rossyą — a Austro-Węgrami, to w takim razie i w obec tej ostateczności opór będzie tak silny — jaki się rzadko spotyka w dziejach wojen.

Armia rosyjska przekona się dopiero wtenczas, że nietylko z armią Austro-węgierską — jak ją dotąd pojmuje i oblicza, walczyć będzie musiała, bo do toczenia tej wojny natrafi na przeszkody o jakich się jej dotąd nieśniło. — Rzecz zupełnie inna, jeżeli uderzą na siebie dwie armie w warunkach cywilizacyi europejskiej, w warunkach poszanowania praw ludzkości, — a zupełnie co innego, gdy z jednej strony tych warunków spodziewać się niemożna.

Mniejsza już o to, co piszą dzieje; ale panowie Rosyanie niech wiedzą o tem, że nie zaginęła tu i żywa tradycya.

Tu w granicach Monarchii Austro-Węgier panują zupełnie jasne pojęcia o honorze i rycerskości żołnierskiej; a przedewszystkiem nielekceważy się innego żołnierza z innej armii, a wszelkie — rozmyślne ubliżanie nie odpowiada poczuciu szlachetności, mianowicie, jak długo hufiec z hufcem się nie starł, nie stanął z nim oko w oko, i nie nadstawiła się pierś z piersią. Chociażby to były dwa wrogie sobie narody, żołnierz żołnierzem nie poniewiera, a to znamię rycerskości powinno się praktykować nawet w boju i po boju, gdyż można sobie być nawzajem wrogiem bez poniewierania honoru żołnierskiego.

Panowie „Geroje“ — Rossyanie mają widocznie jeszcze zanadto słabe pojęcie o tej cnocie żołnierskiej, jeżeli w sposób im najwięcej samym ubliżający, prowokują już teraz nienawiść żołnierskiej.

---

po Łużycach serbskich i pomiędzy Wendami, odgrzebując plemiona słowiańskie.

Pomimo nader ekscentrycznego żywota, nie zalegał on pola w nabywaniu wiedzy. Znał on znakomicie nietylko język polski i niemiecki, oraz starożytne, ale język francuski, włoski, czytał po angielsku i pracował nad znajomością języków słowiańskich. Pomimo wybitnej charakterystyki filozofa, była to dusza wielce poetyczna, tkliwa, a raz po raz rzucane poetyczne utwory na papier, odznaczały się niezwykłą siłą i bystrością myśli.

Zrósł on się z młodzieżą akademicką duszą i ciałem, ukochał ją jak własną dziatwę. Jedyną, ale też najgłówniejszą jego wadą było, sprzyjanie kuflowi piwnemu, którego to nektaru przy pewnyzh sposobnościach pochłaniał niezwykłe miary. Nie był on jednak nałogowym, i często przychodziły na niego chwile i peryody nawet dłuższe, w których oprócz wody nic innego nie pijał, — a wziąwszy kij jałowcowy w rękę, udawał się w pieszą podróż tak jak stał, po okolicy lub gdzieś dalej, jedynie z grubym zeszytem i ołówkiem w kieszeni, odgrzebując nader cenne zabytki starożytne, lub oparte na spostrzeżeniach naocznych, notował myśli filozoficzne.

Znany on był w dosyć szerokim promieniu Wrocławia w każdej wiosce, szczególniej w każdej chacie biedaka, z którym się dzielił ostatnim groszem, ostataim kąsem chleba podróżnego.

Postać jego pociągała ku sobie. Był to mężczyzna średniego wzrostu, dobrze zbudowany ale chuderlawy, ; na foremnym korpusie ciała osadzona była piękna głowa, pokryta długiemi blond włosami. Czoło wysokie, piękne, duże siwe oko, nos kształtny, zbliżony do orlego, długi wąs, a jeszcze dłuższa jasno blond broda, spadająca na piersi, — wszystko to razem składało się na szlachetną i poważną fizyognomię.

W gronie młodzieży ożywiał on się niezwykle i gdy tylko się pierś rozgrzała, intonował zwykle gromkie pieśni, czasem improwizował, a gdy zagrzmiał „Jeszcze Polska nie zginęła,“ „Marsylieząˮ lub starożytną pieśnią hussycką, — to nawet u limfatyków roziskrzały się oczy i budził się zapał.

Nie dziw, że młodzież akademicka lgnęła do niego, otaczała go szczególnym szacunkiem i nie brała mu za złe, jeżeli przebierał czasam miarki, spełniając kufle „bawara.“

Miał on pod tym względem bardzo wielką cnotę, a to tę, że gdy nawet jego i innych umysły były zanadto rozgrzane nektarem Gambrinusa lub winem, i towarzystwo było nadzwyczaj ożywione, to nawet podczas tej hulaszczości, nietylko że się sam Dahlman nie odezwał z jakąkolwiek sprosnością i czczym, lekkim dyskursem, ale nie wolno było komukolwiek w jego obecności czegoś podobnego uczynić — i pod tym względem nie dawał nigdy złego przykładu młodszym. Czem więcej zagrzewała się u niego czupryna, tem więcej wyłaniały się z głębi duszy myśli szlachetne, świecące wielkimi ideałami Ojczyzny albo ludzkości. To też pomimo wad powszednich, był on zawsze jakby niepokalanym sztandarem żywota akademickiego Polaków. Jego jednego nie zaczepił nigdy żaden Niemiec, a w danym razie gdy sam był zaczepiony przez Dahlmana ustępował z uszanowaniem i wyrozumieniem.

Naturalnie, że przez tak długi czas siedząc w Wrocławiu, bo coś przez lat 12, był znany całemu miastu, znał wszystkich profesorów i oni jego, dysputował z nimi, a nawet szukali go sami.

Jemu też to głównie w tych czasach zawdzięczyć należy, że ówczesna młodzież akademicka uczęszczając na wykłady fachowe, nie ograniczała się tylko na nich i nie mówiła, jak to dziś się dzieje, że na to „nie ma czasu,“ lecz kształciła się pilnie w literaturze, historyi i geografii polskiej. Gdziekolwiek się zeszło kilku, tam niezawodnie po krótkiej pogawędce o sprawach powszednich, rozpoczynała się dysputa w kierunku powyżej wskazanej wiedzy, a towarzystwo literackie, które aczkolwiek tajne, miało poważną bibliotekę, robiło wypracowania na temata dowolne, lub też zadawane przez grono kelegów.

Dobrowolna ta nauka, szczególniej literatury, nie odbywała się wtenczas tak lekko jak dzisiaj, co to nasz dzisiejszy akademik, jeżeli mowa o historyi literatury polskiej zna często zaledwie tylko tyle klasyków i celniejszych pisarzy, o ile mu takowych profesor z katedry przytoczył. Taka wiedza wtenczas nieuchodziła, a gdy koledzy na czemś podobnem schwytali, to obsypywano nieuka bezlitoś-

ską, podszywając takową bardzo wstrętną chełpliwością o własnej sile i bohaterstwie, podsuwając czyny armii Austro-Węgierskiej, z których ta nie zasłynęła dotąd bynajmniej w dziejach, zarzucając — „ułanom polskim" — wchodzącym w skład armii Austro-Węgierskiej, że ci jedynie są zdolni do napaści na bezbronne wioski, ściągania w nich kontrybucyi, a nareszcie do sromotnej ucieczki z pola walki". — Takiego orzeczenia dokonał taki „Geroj" — jak p. Kornijewskij w „Nowościach" zupełnie bezpodstawnie, a jeżeli czerpał te wiadomości z jakiegokolwiek uczciwego dzieła wojskowego, to się pomylił, używając nazwy „ułanów polskich" i to tych, którzy w chodzą w skład armii Austro-Węgierskiej, bo napadanie na bezbronne wioski, ściąganie kontrybucyi i rabunek, nie leży w ich charakterze. Pan Kornijewskij winien był zaczerpnąć wiedzy z poważnych dzieł wojskowych, nie z tych, jakie widocznie miał pod ręką, a byłby się dowiedział, jacy to ułani, jaka kawalerya i jaka armia zyskała sobie sławę wiekopomną z takiej rycerskości, jaką zarzuca „ułanom polskim."

P. Kornijewskij słyszał coś o Sadowie, ale nie zna widocznie dziejów kampanii 1866 roku, bo byłby się dowiedział, że „ułani polscy" n. p. pod Oświęcimem i pod Custozą okryli się niezaprzeczoną sławą, której im nawet Prusacy nie odmawiają. „Ułani polscy" w armi Austro-Węgierskiej w ogóle, nigdzie sromotnie nie uciekali, żołnierz ten bił się wszędzie dzielnie, chociaż nim nie dowodzili oficerowie jego narodowości.

Jak wiadomo, pułk 13 „hr. Trani" ułanów polskich zorganizowany dopiero został w r. 1860, a kampania 1866 r. była dla niego dopiero pierwszym chrztem bojowym. Pułkiem tym dowodził Maxymilian Rodakowski, podpułkownikiem był Adolf Wisłocki.

Chrzest odbył się dnia 24. czerwca, który „ułani polscy" rozpoczęli niepohamowanem uderzeniem na nieprzyjacielskie szeregi piechoty; rozbiły pierwszą i drugą linię, a brygada włoska „Parma" miała zaledwie tyle czasu, aby sformować czworoboki. w środku których nawet waleczny książe Humbert zmuszony był schronić się z całym sztabem.

Czworoboki te były osłonione gęstemi szeregami drzew, a więc stanowczo dla kawaleryi niedostępnemi, lecz to nie przeszkodziło ułanom polskim rozbić jeden z takich czworoboków.

Innemu batalionowi nie pozwolili nawet się zformować, ale go rozbili w puch i zmusili do bezładnej ucieczki. Zabrali dwa działa na trakcie prowadzącym do Werony, i odparli szwadron zdążający na odbicie. Nie mogli tych dział z sobą zabrać, bo nie było zaprzęgów, które nieprzyjaciel przedtem z sobą uprowadził. Ci ułani polscy wytrzymali najstraszniejszy ogień, skierowany na nich z czworoboków, a gdy nie mogli się wycofać z powodu parowów, nie wahali się utorować sobie drogę pomiędzy czworobokami, które ich dziesiątkowały. Z 550 jeźdźców pozostało zaledwie 200. Dziesięciu oficerów zginęło lub zostało rannych, a zaledwie pięciu oficerów wyjechało na koniach z tego morderczego boju.

Z oficerów polskich odznaczeni zostali i dekorowani: dowódzca pułku Rodakowski Maxymilian podpułkownik Wisłocki Adolf i rotmistrz Stanisław Wierusz Kowalski, obecnie dowódca 6 pułku „ułanów polskich".

Pułk ten otrzymał dla swych mężnych 8 złotych, 19 wielkich i 35 srebrnych medali.

Tych faktów „Geroj" p. Kornijewskij widocznie nie znał, lub takowe rozmyślnie pominął, a może też jego „szeroka sławiańska natura" spowodowała go do takich nieuczciwych fałszów. U nas, mianowicie w Galicyi ci co czytają „Kraj" przypomnieli sobie zaraz te czasy, gdy armia rossyjska powracała po kampanii węgierskiej 1849 roku; stanęły im żywo te obrazy przed oczami, gdy oprócz rzeczywistej armii bojowej szła druga przedstawiająca również silną karawanę, a powstałą jedynie z rabunku tego wszystkiego, co się tylko zbrabować i uwieść dało. Czyby nie lepiej był uczynił p. Kornijewskij i lepiej się przysłużył swej szerokiej ojczyźnie sławiańskiej, gdyby był nie wywoływał wilka z lasu i nie przypominał tym, których „Geroje" tacy jak on zamierzają podbić jednym zamachem szabli dragońskiej, lub pchnięciem piki kozackiej.

My nie przeceniamy męstwa naszej armii, a nawet „ułanów polskich", bo jak to mówią: — „chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi".

W każdym razie zobaczymy jak to się stanie, gdyby do wojny przyjść miało.

J. N. z Oleksowa Gniewosz

wprawdzie nie „Geroj" nawet, nie ułan ale poprostu stary strzelec polski.

„Protestujemy"!

Są jednostki w społeczeństwie krajów i Narodów, które, aczkolwiek umieją się wykręcać z poza krat kryminałów, z pod zarzutów prostych zbrodni, przebrały jednak w niecnych czynach miarę, a mianowicie zbrodniach narodowych. Zdawaćby się więc powinno, że osobistości takie, jeżeli im własne sumienie nie wskazuje drogi do pokuty, to przynajmniej powinny zrozumieć, że we wszelkich sprawach kraju i narodu powinny milczeć i nie wolno im zabierać głosu, jeżeli nie chcą się narazić pod pręgierz opinii publicznej, jak w obecnym wypadku.

Dziwić się tylko należy, jak poważne ogniska głosów publicznych, — pisma, do jakich należy *Kraj* petersburgski, (własność p. Spasowicza adwokata), jakkolwiek dążności ich tylko w małej cząstce narodu polskiego znajdują echo, otwierają z taką łatwością łamy swe ludziom pewnym i pozwalają im podpisywać się pełnem nazwiskiem. Czy budowa złotych mostów z Polski do Moskwy, potrzebowała już nawet takich sojuszników, jak Ludwik Żychliński? — Czy ta osobistość nie jest rzeczywiście znaną redakcyi „Kraju?"

Zaczem podamy życiorys tego korespondenta „Kraju", objaśniamy przedewszystkiem przyczynę, jaka nas powoduje do niniejszego protestu.

Oto „Kraj" umieścił w Nrze 51. z dnia 2. Stycznia r. b. „Mowę A. Sapiehy", — którą i my dziś podajemy, którą wygłosił w Sejmie 16. Grudnia r. z., zalecając kształcenie młodzieży w języku niemieckim, i doprowadzenie jej do władania tym językiem w mowie i piśmie.

Jak wiadomo powszechnie, Redakcya „Strażnicy polskiej" nie należała nigdy i nie należy do politycznych przyjaciół księcia Adama Sapiehy; przeciwnie, stała względem niego zawsze w nader silnej opozycyi. Ale na tym jednym punkcie co do wniosku powyższego o języku niemieckim, mamy tę cywilną odwagę szczerze przyklasnąć temu wnioskowi, gdyż po gruntownem zastanowieniu się, nie widzimy żadnego uszczerbku ani niebezpieczeństwa dla języka polskiego w Galicyi. Ośmielamy się tylko na jedną poprawkę, a to tę, aby młodzież w szkołach wyższych i na akademiach, uczyła się również pilnie i języka polskiego, którym niestety tylko mniejszość mówi i pisze poprawnie. (O przyczynach, gdzie i czyja wina, pomówimy później. Red.) — Żądania ks. A. Sapiehy uważamy za bardzo słuszne — bo naszym obowiązkiem starać się, abyśmy nie tylko w naszych granicach byli zrozumiali, ale na szerszej arenie społecznej i politycznej. Tę drogę wskazali nam tacy: Tytus Działyński. Gustaw Potworowski, Władysław Niegolewski, Kazimierz Kantak, i cała legia znakomitych patryotów, wytrwałych aż do skonu i odważnych bojowników. Jakżeby to było wyglądałoto bojowanie ich, gdyby byli niemi. nie władali językiem niemieckim oko w oko z Niemcami?

Nie gaśmy uczuć patryotycznych, pielęgnujmy je od kolebki, nie gaśmy zimną wodą świętych ideałów, zwróćmy pilniejszą uwagę na tych, którym powierzamy wychowanie naszej młodzieży, a nie będzie niebezpieczeństwa, aby wynikła szkoda dla języka narodowego.

A teraz przypatrzmy się bliżej, jak to wygląda ten patryota rzekomy — o szerokiej słowiańskiej naturze, którego tak wielce wniosek ks. A. Sapiehy oburzył i który śmie twierdzić, że: „chociażem dużo cierpień przetrwał, to jednak niczem wyniesionego przed 23 laty sztandaru nie splamiłem."

„Ludwik Żychliński,"

ze starej, znanej rodziny patryotycznej w Wielkopolsce, syn obywatela żołnierza z r. 1830/31., 1848., więźnia stanu, na którego wychowanie rodzice wiele łożyli — już od młodości odznaczał się postępkami, które nie bardzo licowały z obowiązkami przyszłego obywatela. Składano to jednak na przyczynę krewkiego usposobienia, a szczególniej jedynie żołnierskiego animuszu.

Służył pod Garibaldim — odbył wojnę w Ameryce — a w r. 1863. przybył do kraju i stanąwszy w szeregach naszych powstańczych, zasłynął rzeczywiście jako dzielny dowódca hufcu konnego „Dzieci warszawskich." — Trzymał się mężnie do końca, chociaż już wtenczas dochodziły głuche wieści o brutalności i tyranii jego względem podkomendnych. Brano to jednak na karb nieodzownego rygoru w powstaniu.

Był on tak odważny, że alarmował Moskwę nawet w Warszawie, docierając do samych rogatek.

---

nym sarkazmem i długo z niego drwiono. Biada akademikowi w towarzyskich stosunkach, któryby klasyków literatury polskiej nie przewertował na wskróś. Biada temu, komu nie były znane wszystkie ważniejsze wypadki dziejowe, lub nie znał geografii wszystkich ziem polskich. A tego wszystkiego nie uczono z katedr, ale każdy zdobywał własną silną wolą i poczuciem obowiązku wykształcenia, jakie winien był posiadać każdy akademik.

Była wprawdzie na uniwersytecie wrocławskim katedra literatury słowiańskiej, lecz profesorowie byli w tych wykładach bardzo ograniczeni i nie zawsze byli wybierani tacy, którzy dorośli temu zadaniu, wyjąwszy wielkiej szlachetności i wiedzy, a pobratymca naszego duszą — Czecha — Purkynego.

Piotr Dahlman pomimo wieku dominującego nad młodzieżą akademicką, nie stracił do końca ani pyłku z charakterystyki ówczesnej akademika, gdyż nawet były chwile, gdzie brał udział lub improwizował figle, które właściwe były tylko młodzieniaszkom.

Około r. 1843. zaczęły kiełkować na uniwersytecie wrocławskim idee komunistyczne, czyli socyalistyczne. Dahlman studywał te teorye nader pilnie. Bardzo uwielbiał — ale tylko niektórych bohaterów rewolucyi francuskiej, badał takową ściśle i rozprawiał o niej z młodszymi kolegami. Był on zwolennikiem socyalizmu, ale socyalizmu demokratycznego, któremu nadał zupełnie odrębną charakterystykę, zastosowaną do Polski, do równouprawnienia — do podniesienia ludu. Natomiast drwił nielitościwie z tych teoretyków, którzy pod socyalizmem pojmują zniwelowanie ludzkości pod jeden strychulec. Na poczet takiego komunizmu wyprawiał nawet głośne figle i tak:

Razu pewnego, a było to latem, szedł z kilku kolegami, pomiędzy którymi znajdował się bawiący w Wrocławiu poeta nasz Roman Zmorski. Wyszli co tylko z piwiarni Świdnickiej, słynnej od wieków. Dla ochłody użyto dosyć „bawara." Chcąc użyć przechadzki, przyszli na planty, które założono w Wrocławiu na dawnych wałach fortecznych. Przy plantach siedziały przekupki, sprzedające czereśnie, które w tym roku licznie obrodziły. Dahlman był w szczególnym humorze, bo tego dnia odebrał od jakiegoś księgarza kilkanaście talarów; nie namyślając się więc długo, zakupuje pełen kosz czereśni wraz z koszem. W towarzystwie jego był akademik, który zwany był „paniczykiem," gładki i piękny, i uczęszczający do najpierwszych domów w Wrocławiu. Dahlman chwyciwszy za jedno ucho kosza, każe mu jąć za drugie; „paniczyk" się waha, ale nie śmie nie spełnić woli „ojca Piotra."

Na planty o tej porze wylegał cały modny świat i śmietanka wrocławska, szczególniej płci pięknej. I cóż robi nasz stary figlarz? Oto zastępuje najpierwszym damom drogę i ze swą rubaszną elegancyą częstuje je czereśniami.

Damy zażenowane wymawiają się i chcą ustępować, śmielsze zaś oświadczają, że nie mają honoru znać tego, co ich częstuje.

Dahlman wymawia swoje nazwisko, i dodaje „charakter" komunisty. To hasło wystarcza, aby nawet najpoważniejsze mamunie przybrały wyraz wdzięku kobiecego i z całą uprzejmością zaczerpnęły z kosza czereśni, — i tak wyczęstował cały swój zapas, postępując naprzód.

Kilka dni mówiono o tym objawie komunizmu w całem mieście.

Jeden znowu z młodszych akademików, który był znany ze skąpstwa, a dosyć zamożny, miał tę słabość, że był głośnym wyznawcą zasad komunistycznych. Dahlman znając jego pierwszą słabą stronę, t. j. sknerstwo, postanowił dać mu nauczkę przy sposobności i przekonać innych o szczerości tych zasad jego.

Otóż wiedział Dahlman o tem, że koleżka zaopatrywany bywa z domu, szczególniej na większe święta i uroczystości w niezwykłe zapasy rozmaitych żywności i przysmaków domowych, lecz gdy takowe odbiera, chowa się z niemi, konsumuje przy zamkniętych drzwiach, lub też częstuje nader homeopatycznie kolegów.

Było to w czasie zapust; koleżce przywiózł furman — bo kolei jeszcze nie było — pełną poważną skrzynię, a była tam szynku, kiełbasy, indyk, podobno i czomber sarni, mnóstwo pączków i innych specyałów. Dahlmanowi zaraportowano natychmiast o tej przesyłce; organizuje więc tak całego figla, że ani na chwilę nie pozostawia właściciela zapasów [samego, lecz nieustannie zjawia

W końcu powstania został ranny i wzięty do niewoli. Uważano go za straconego, gdyż daleko mniej winnych jak on, wieszano lub rozstrzelano. Ludwik Żychliński jakimś dziwnym i dotąd niezupełnie wyjaśnionym cudem — wysłany został na Sybir.

Od tego to czasu datują się w całej ohydzie czarne karty jego żywota.

Przybywszy na Sybir, nie wybierał w środkach, aby sobie zaskarbić łaskę i zaufanie satrapów. Z kolegami niedoli rozpoczął najwstrętniejsze kłótnie, gdzie i jak mógł rzucał kość niezgody, a gdy poznany jako człowiek najlichszego charakteru, odsuwano się i gardzono nim, — człowiek ten udał się do najsromotniejszej zemsty. Został po prostu szpiegiem i donosicielem, wskutek czego kuto nieszczęśliwych braci naszych w kajdany i sieczono ich pałkami.

Moglibyśmy podać cały szereg faktów z imionami i nazwiskami tych, którzy dotąd jeszcze jęczą w Sybirze w katorgach i kopalniach.

Moglibyśmy cały szereg najzacniejszych imion powołać na świadectwo, lecz ze zrozumiałych powodów, aby ich uchylić od zemsty tego szatana — nie czynimy tego.

Mamy jednak najbliższych i naocznych świadków tych nikczemności tu we Lwowie i Galicyi — którzy mogą potwierdzić wiarygodność tego co piszemy.

Po kilku latach pobytu na Sybirze został uwolniony, powrócił do kraju, ożenił się z zacną Polką — a zakupiwszy majętność ziemską za jej posag w Galicyi, osiadł w powiecie Cieszanowskim.

Czynów jego na Syberyi nikt nie znał — a jeżeli kto wiedział, to milczał z obawy. Aureola zaś dowódcy „Dzieci warszawskich“ oświecała go jeszcze czas długi. Zasłynął on jako najsurowszych zasad demokrata, odważny pionier w pracy organicznej i — wielki miłośnik ludu. Gdy w dodatku chociaż słowem tylko wprawdzie, migał nieustannie każdemu szablą przed oczami — i tak samo pokazywał lufę pistoletu, to chociaż kto miał powód słuszny, milczał i ustępował.

Cóż się dalej dzieje? — L Żychliński zaczyna trwonić majątek żony i dzieci, prowadzić żywot wbrew wszelkim zasadom moralności. Ten miłośnik ludu zaczyna być jego katem, wyzyskiwaczem i rabuje go bezczelnie — bez litości wszelkiej; wikła się w procesa kryminalne najwstrętniejszej natury; poniewiera żonę, dzieciom daje najgorsze przykłady — sam je usiłuje zdemoralizować. Matka broni, bez względu na wszelką. nie dającą się tu opisać brutalność. — Mieszkając blisko granicy, wchodzi z Moskalami w konszachty mianowicie w czasie wojny rossyjsko-tureckiej; — rozpoczyna korespondencje z Petersburgiem — z Trepowem. — Żona błaga, pada przed nim na kolana, aby przez wzgląd na dzieci nie okrywał się hańbą.

I cóż ten nikczemnik czyni?

Rzuca na żonę najwstrętniejsze potwarze — na dziecko własne — czyni donosy do sądów kryminalnych — i tam z przerażeniem widzą, do czego taki ojciec wyrodny jest zdolny. — Prokuratorya odrzuca te oszczerstwa — ale więzi go o podpalenie i osadza w kryminale. — Ława przysięgłych, dla braku dostatecznych dowodów uwalnia go; — wychodzi on z więzienia z odwagą cywilną godną lepszej sprawy — usiłuje znowu odegrać rolę zaświecić patryotyzmem i pracą na niwie narodowéj. — Cynizm — dopomaga mu do grania komedyi — i łapania ludzi łatwowiernych na tę cuchnącą plewę. — Usiłuje wkręcić się i pociągnąć młodzież akademicką — ale ta go kopie po prostu nogą i odpycha.

Nareszcie w „Ognisku domowem“ — zaczynają się drukować pamiętniki Ludwika Zielonki.

Autor widząc — co ten straszny człowiek wyrabia — zdobywa się również na odwagę — i podnosi cokolwiek zasłonę, aby pokazać, czem był na Sybirze Ludwik Żychliński. — Bohater ten, patryota — ucicha na chwilę i wypływa — w obozie moskalofilów galicyjskich, brat za brat z Naumowiczem, Markowem, Płoszczańskim, et tutti quanti, i puszcza się po Galicyi, na apostolstwo idei szeroko słowiańskiej. — Chodzą nawet pogłoski, że ma stać w bliskich stosunkach z Mirosławem Dobrjańskim.

Możemy nawet c. k. Prokuratoryi dostarczyć świadków, że niedawniej jak cztery lata wstecz, zwierzał się pewnym ludziom — że ma w każdej chwili do dyspozycyi broni od Rossyi ile zażąda, — a głosi to podobno i obecnie. — Łatwo temu dać wiarę — jeżeli się przeczyta jego to co pisze w „Kraju“. — Tam ta szeroka sławiańska natura występuje — jawnie — śmiało. A jest tam orzeczenie, które dziwnie go charakteryzuje; oto napadając na „Kuryer lwowski“ mówi:

„Ta nasza Galicya wraz ze swojem dziennikarstwem, to prawdziwa wieża Babel. — Tak nisko upadła, że nawet fagasując Niemcom i Madiarom, nie może z tego innych odnieść korzyści, oprócz srogiej nędzy w ludzie“.

Otóż pamiętamy dobrze, bo widzieliśmy na własne oczy i słuchali, jak ten sam Ludwik Żychliński — kilka lat wstecz, gdy Madiary zaprosili Polaków w gościnę do Homonny, pojechał wraz z nami, ubrany w kontusz, pas, kołpak z czaplem piórem i przy karabeli — jak się rzucał Madiarom w ramiona, a po licach jego spływały łzy radości — całował ich i sciskał — przysięgał na braterstwo — i później jeszcze do nich jeździł.

Dziś musi on być bardzo pewien zwycięstwa szerokiej idei sławiańskiej — jeżeli występuje w „Kraju“ — i podpisuje się pełnem nazwiskiem.

Inny na jego miejscu — byłby się już dawno wyniósł za morze — albo uprawił choć kilka łodyg konopi — aby już raz zgubić ślad po sobie. Takie szerokie natury jednak — są daleko więcej odważniejsze. — Człowiek ten do wszystkiego zdolny — i nie dziwiłoby nas wcale, gdybyśmy przy sprzyjających mu okolicznościach, ujrzeli tego naszego Żeleźniaka na czele odpowiedniej bandy.

Zwracamy uwagę krajowych władz bezpieczeństwa, aby zwróciła na niego szczególną uwagę, — a czynimy to z poczucia obowiązku patryotycznego.

Przeciw zapieraniu głosu w sprawach kraju i narodu przez takich patryotów, protestujemy stanowczo.

Mowa A. Sapiehy.

Ks. Adam Sapieha wygłosił dnia 16. grudnia w Sejmie galicyjskim mowę, w której zalecał przedsięwzięcie środków w celu kształcenia młodzieży polskiej w języku niemieckim i doprowadzenia jej do władania tym językiem w słowie i piśmie“. Przytaczamy tu bardziej charakterystyczne ustępy z mowy sz. posła, której znaczenie omawia Verax w korespondencyi lwowskiej.

„Powiedziałem, że to jest koniecznem, panowie. Pozwolę sobie twierdzić, że przedewszystkiem ze stanowiska naszego narodowego polskiego jest to potrzebnem. Bo my na wszystkich polach, chociaż może politycznie nie stojąc samodzielnie, chcemy wszędzie dowodzić, żeśmy nie wyszli z życia społeczeństwa cywilizowanego tego świata, że w niem chcemy miejsce zajmować, że chcemy w jego pracach i w jego rozwoju brać udział. I byłoby to grzechem względem tej idei narodowej, gdyby ktokolwiek miał myśl oddzielić, murem chińskim odciąć nas od reszty Europy. Jest to też potrzebnem i koniecznem dla honoru naszego, żebyśmy znali język, który dziś tak wielką gra rolę w Europie, i żebyśmy się w tym języku porozumieć mogli, żebyśmy mogli wszystko co dobre i co pożyteczne od nich brać, i naodwrót, ażebyśmy mogli i w danym razie wszystko co dobre i pożyteczne u nas się pojawi, im żywem słowem czy pismem przekazać.

Jest rzeczą konieczną ze względu na młodzież naszą, bo przecież my jej do Galicyi samej ograniczać nie będziemy chcieli i nie powinniśmy. My już podczas kształcenia jej powinniśmy jej dać możność wyzyskania tego wszystkiego, co jej rynki zagraniczne dać mogą, a do tego, aby wyzyskiwać to mogła, potrzeba ją doprowadzić do zupełnej biegłości w słowie i w piśmie w języku niemieckim...

Dalej panowie, zajmujemy stanowisko, zdaje się, niepoślednie w monarchii austryackiej. Nie dość do niej należeć, lecz powinniśmy chcieć i żądać, abyśmy zawsze mogli mieć wpływowy udział w życiu tejże monarchii. Zatem w naszej reprezentacyi w Wiedniu musimy mieć ludzi, którzyby władali z zupełną pewnością i bezpieczeństwem tym językiem...

Biorę jeszcze jedną sprawę, a sprawę w dzisiejszych czasach pewnie niepośledniąi nie drugorzędną. Jestto kwestya służenia naszej młodzieży w armii. Żyjemy, panowie, niestety, w czasach, gdzie zanadto wielką rolę, mają armie do odgrywania. Nie chcę, żeby nasza młodzież była ograniczoną do pewnych niższych stopni w tej armii i wyżej dojść nie mogła, li tylko dla tego, że języka nie zna; i dlatego chcę, aby naszą młodzież doprowadzić do tej doskonałości, aby jej cała możność karyery, wpływu i zajęcia stanowiska odpowiedniego była daną i otwartą.

Zdaje się, że zanadto dobrze znam ten kraj, aby módz, nie powiem kraj, którekolwiek stronnictwo, ale nawet pojedyncze osoby podejrzywać o to, aby były uległe — przepraszam za słowo — owemu szowinizmowi wprowadzenia idei autonomicznej aż w armię. Mnie się zdaje, że nie będzie to z uszczerbkiem naszej narodowości, ani języka, otwarcie przyznać się do zasady, że w armii język jedyny być może i musi. Ja pamiętam czasy dawniejsze, pamiętam szkoły dawniejsze, pamiętam chwile, w których kraj walczył, w których kraj ponosił tak wielkie trudy i tyle mozołów, żeby uzyskać to co ma; i wiem aż nadto dobrze, jak w tej sprawie głos zabierając, każde słowo trzeba wa-

---

się u niego jeden z kolegów, a chociaż wie o posyłce, nie zwraca nawet uwagi na skrzynię, która w kącie pokoju stała okryta jakimś dywanem. Wizyty trwały cały dzień, aż ku wieczorowi przychodzi inny kolega i oświadcza, że dziś daje wieczór, będzie „biba“ — bo z domu otrzymał mnóstwo wybornych rzeczy. Zaprasza ze sobą sknerę, ten daje przyrzeczenie przyjścia, lecz koledzy nie opuszczają go i zabierają zaraz ze sobą. Po drodze zaprosił jeden z kolegów na chwilkę do cukierni na szklankę pończyku. Gdy po jednej wypito, zafundował ktoś po drugiej, a nareszcie po trzeciej, i dopiero po dwugodzinnem siedzeniu przy pończyku zauważano, że czas już iść do kolegi na „bibę.“

Gdy przyszli, rozjaśniły się wszystkim oblicza, a szczególniej apostołowi komunizmu, który słynął z apetytu dobrego.

Na długim stole nakrytym stały półmiski nakrajanej szynki, kiełbas, indyk, sarnina, a podobno i pyszne półgęski wędzone, w środku dominowała wysoka piramida, ułożona z pączków. Kolegów zebrało się „multum,“ a ojciec Piotr poważnie zasiadł obok antałka „bawara,“ na którym oparłszy rękę, podparł głowę i uśmiechając się ironicznie, nie spuszczał prawie oka z komunisty. Znalazła się i nie zła baterya węgrzyna, na które to napoje złożyli się wszyscy koledzy.

Uczta była wyborna i wesoła. Po niej odezwała się najprzód gitara, potem zagrano na klawicymbale, huknięto pieśnią jedną i drugą, zaczęto nawet hasać, a powagi tylko wychylając kieliszki węgrzyna, dysputowały. Nasz komuuista, apostołując swą ideę, był rozpromieniony — i dziwna rzecz, po raz pierwszy zauważył, że przekonuje swoimi argumentami. Nawet Piotr Dahlman uchylał przed jego zdaniami czoła.

Uciecha trwała długo w noc. Komunistę, któremu w oczach robiło się jakoś niejasno, odprowadzili koledzy do domu. Rozebrawszy się, zasnął twardo, a gdy się obudził, zegar wskazywał już blisko południe. Po wstaniu z łóżka postanowił nareszcie otworzyc skrzynię, aby się przekonać, co mu mama z domu przysłała. Zdjął więc zasłaniający ją dywan, a ponieważ była gwoździami zabita, przystąpił do odważania. Gdy tę operacyę ukończył, odchylił wieko. Skrzynia była pełna, z wierzchu ułożone było sianko, a pod tem warstwa starych gazet. Odchyla tę ostatnią zasłonę, połykając już naprzód ślinkę, w postanowieniu użycia swobodniejszego jeszcze, jak na wspólnej „bibie.“

Któż jednak nie pojmie jego przerażenia, gdy pod papierami znajduje tylko znowu papiery, części własnego ubrania, własne stare buty, a pod tem wszystkiem wielki pakiet, napełniony kościami z szynki, sarniny i indyka.

Zapominając o swych zasadach i naukach komunistycznych, że „co twoje to moje,“ wpada w w niewysłowioną wściekłość i zamierza wszystkich wyzwać do mety. Fala oburzenia miotała nim aż ku wieczorowi, aż nareszcie natura — recte żołądek upomniał się o swe prawa, a tu jak na złość, nic ani na ząb, oprócz kości. Ubiera się więc i pędzi na „Grüne Baumbrücke“ (sławna jeneralna restauracya akademicka), a tam jakby wiedziano o tem co nastąpi, spotyka wszystkich kolegów wczorajszej „biby“ i Piotra Dahlmana na czele, którzy go witają okrzykiem: — „Niech żyje komunizm! — niech żyje jego apostoł!“

Cóż było czynić biedakowi, jak zgodzić się z losem i zamiast wyzywania na metę, uzbroić usta w uśmiech i udawać zupełną obojętność z powodu straty tak cennych przysmaków. Fakt jednak jest, że odtąd stanowczo przestał apostołować komunizm.

Piotr Dahlman w r. 1846. ujęty został jako emisaryusz pomiędzy ludem i osadzony w podziemiach fortecy poznańskiej, a później w Mohabicie. Więzienie jego było nadzwyczaj ostre, gdyż Niemcy znęcali się nad nim strasznie. Organizm jego zaczął się nagle psuć, zawitały suchoty, a gdy go koledzy ujrzeli przed kratkami trybunału w Mohabicie w r. 1847., przedstawiał on jakby straszne widmo powstającego z grobu Piotrowiny. Długie włosy spadały na ramiona, lecz jakby martwe, bez życia. Broda sięgała po pas, a twarz wychudła, powleczona zaledwie skórą — bladości pergaminowej, ręka wychudła jak u szkieletu zabalsamowanego, usta sine. Gdy stanął przed trybunałem, widoczne było przerażenie na wszystkich twarzach sędziów i oskarzycieli. Kolegów, siedzących na amfiteatrze obok, przejął żal serdeczny.

Odczytano oskarzenie — o zbrodnię stanu. Dahlman podniósł drżącą rękę do góry, opierając

żyć, nad każdem słowem trzeba się zastanowić. Ale skoro obejrzałem się po naszych ustawach, kiedym zajrzał do przepisów obowiązujących dziś już w sprawach szkolnych, to zdaje mi się, że nie omylę się, twierdząc, że możemy z wszelkim spokojem o tej kwestyi mówić, bo ustawy i przepisy obowiązujące są zbyt jasne i niedwuznaczne i zanadto jaskrawo naszą odrębność w tym dziale w całej monarchii stawiają...

Nie żądam żadnej nowej ustawy, bo jej nie potrzeba, równie jak nie potrzeba zmiany ustawy obowiązującej, ani noweli. Powtarzam, że chodzi tylko o skuteczne wyzyskanie tego, co już jest, tego, co obowiązuje. Zatem nie idę w drodze prawodawczej, ale uważam, że potrzebne jest wejrzenie przez ludzi fachowych, przez ludzi nauki, w plan nauki, w sposób uczenia.

Zastanawiając się nad mym wnioskiem i nad powodami, które mnie do niego skłoniły, rzeczywiście mogłem wrócić do kwestyi, zkąd ta drażliwość, zkąd te obawy tam, gdzie chodzi o tak ważną i tak świętą dla każdego narodu sprawę, sprawę taką, jak o język. I rzecz dziwna, doszedłem do przekonania, że tak jak w wielu rzeczach ci, którzy dzisiaj wszędzie niepokój, wszędzie nienawiść, wszędzie niezgodę sieją, ci i tu są powodem, że nietylko my, ale i w innych prowincyach inne narody z taką lękliwością, z taką obawą przystępują do wszystkiego, co się odnosi do kwestyi językowej. I tak jak ci, którzy w imieniu języka niemieckiego, w imieniu liberalizmu tak bardzo za tym językiem walczą i oni sami i tym systemem walki właśnie są powodem, że ten język nie tak bardzo się u nas rozwija jakby się rozwijać powinien. (Brawo). Oni własną myśl — jeżeli to jest ich myślą — obalają i podkopują.

Tembardziej zaś to tu dzisiaj podnoszę, ile że od czasu, jak parlament połączył wszystkie prowincye w skład monarchii wchodzące, mamy objaw nadzwyczaj ważny, a dla nas wielce pocieszający, ten, że przecież mamy niemców którzy po naszej stronie stoją, mamy niemców, którzy windykując wszystko, co potrzeba dla interesów monarchii i wszystko, co im się słusznie należy dla języka niemieckiego, przyznają jednak wszystko, co tylko się należy wszystkim innym i nigdy nie negują, a nawet tym innym w zdobywaniu należących im się praw pomocną rękę podają...

Do jednych jeszcze chciałem się ztąd odezwać, bo u nich to właśnie bardzobym się obawiał być fałszywie zrozumianym lub też źle interpretowanym, a to o czechach, którzy walczą dziś tak, jak my ongi walczyliśmy o prawa dla naszego języka i którzy dzisiaj jeszcze nie tak daleko doszli jak my może wśród walki i jeszcze bardzo drażliwie i podejrzliwie na wszelki głos zabierany w kwestyi stosunku języka do języka się zapatrują. Nie chcę, ażeby oni w tem chcieli widzieć albo jakieś żądania, albo jakieś nawoływania do grzesznego zrzekania się praw świętych ich języka...

Prawa narodu każdego do jego języka są dane od Boga i niema tej siły, któraby je odjąć mogła lub skrępować potrafiła. A te prawa w naszej monarchii są tak mądrze przez tego, który na czele ich stoi pojmowanie i przyznawane, że zdaje mi się, nie potrzeba nikogo ani odstraszać, ani też krępować..."

---

się drugą o krzesło, bo inaczej nie mógłby był ustać, a odpowiadając na zarzut zbrodni, odezwał się tak strasznemi słowy, że ich tu powtórzyć z różnych względów nie możemy. Kończąc, zawołał jakby konającym głosem: że gdyby miał dziesięć żywotów, to samo by uczynił i konając śpiewać będzie:

„Jeszcze Polska nie zginęła!"

Trudno opisać wrażenie, jakie sprawiła ta straszna dramatyczna scena. Po wyrazie ostatnim: — „nie zginęła" — z ust męczennika buchnęła krew i bezprzytomny upadł na krzesło.

Trybunał — uwolnił go od oskarzenia. Dahlmana zawieziono bezzwłocznie do Poznania i umieszczono w szpitalu u Sióstr Miłosierdzia.

W kilkanaście dni zakończył żywot. W dzień pogrzebu tysiące bratnich serc otoczyło szpital, aby oddać temu męczennikowi ostatnią usługę, ale nastąpił wielki kłopot, bo zmarły męczennik był ewangielikiem, któremu jego współwyznawcy wzbronili przytułku na swym cmentarzu, jako rebelantowi. Jezuityzm oparł się również i nie przyjął go na cmentarz katolicki, bo to był heretyk. Niestety, wpływ tego jezuityzmu był tak wielki, że mu się nawet nie mógł oprzeć taki patryota, jak Leon Przyłuski, arcybiskup.

Dopiero garstka Greków poznańskich na czele ze ś. p. Janem Żupańskim, udzieliła gościnności zwłokom męczennika na swym cmentarzyku.

(C. d. n.)

Nowe spółki rękodzielnicze

w Bystrzycy (Siedmiogród) na Węgrzech).

(Ciąg dalszy).

Oto w skróceniu podaliśmy treść statutów tego Towarzystwa. O ile takowe pod pewnym względem są podobne do wielu innych, zawiązywanych Towarzystw i spółek, to jednak już na pierwszy rzut oka odznaczają się niezwykłą trzeźwością myśli, a szczególniej wyraźnie zaznaczonymi obowiązkami karności, oraz zastrzeżeniem prawidłowego i sumiennego postępowania. — Statut wymaga z całą surowością od swoich członków, a mianowicie od funkcyonaryuszów — wszelkiej uczciwości społecznej, — która jedynie może być podstawą dla lepszej doli rękodzielnika.

Jednym może z najciekawszych, a bodaj czy nie najdonioślejszych tego statutu jest §. 10., który mówi, że każdego czasu może być przyjęty ktoś na członka, jeżeli tenże w Bystrzycy u jednego z członków Towarzystwa wyuczył się rymarstwa i przez korporacyę rymarską został wyzwolony.

Paragraf ten nie może być dlatego każdemu zrozumiały, że w dalszym ciągu może każdy członek wstąpić do warstatu Towarzystwa jako robotnik. Zkądżeż w takim razie ten robotnik warstatowy może na własną rękę wykształcać uczniów, a nareszcie ich wyzwalać na czeladników?

Otóż §. ten 10. jest rzeczywiście daleko sięgającej doniosłości życzeń i badań — czy nie rozstrzygający stanowczo — od dłuższych lat tak gorąco branych w obronę robotników rękodzielniczych i rzekome usiłowania zbawienia ich i doprowadzenia do lepszej przyszłości. Pomimo jednak wszelkich wysileń mózgowych wszystkich znakomitych socyologów, nie umieją oni jednak tej sprawy inaczej postawić, jak przez równouprawnienie bezwarunkowo wszystkich robotników, i danie im absolutnych praw wolności osobistej, aż do zburzenia i rozerwania ogniska domowego, tego odwiecznego nie tylko Bożego, ale natury prawa.

Pominiemy już zupełnie bezwyznaniowość i beznarodowość, bo przeszlibyśmy zakres naszego artykułu, ale zwracamy uwagę czytelnika na to, że Towarzystwo rymarzy w Bystrzycy, aczkolwiek zbliżające się do idei socyalnych, ku rozwiązaniu sprawy i doli robotnika, zrozumiało swe zadanie społeczne, i nie tylko nie przyłożyło ręki do zburzenia ołtarza domowego — rodziny, ale przeciwnie, wzmacnia z wszelką skrzętnością i dobrą wiedzą jego fundamenta.

Towarzystwo to zrozumiało bardzo dobrze, jak niebezpiecznem jest — rzekomo dla dobra społeczeństwa, ludzkości, — wstrząsać najgłówniejszemi dźwigniami moralności. Daje ono temu wyraz swój w §. 12. pod literą *c)*:

„Jeżeli jednak członek Towarzystwa oddaje się pijaństwu, w warstatach powoduje kłótnię, dopuszcza się opieszałości, partactwa na robocie i łamie formy porządku domowego, lub jeżeli był karany prawomocnie za występki, lub chciwość wyzyskiwania, ten pozbawiony jest swych praw jako członek Towarzystwa."

Zdaje się, że w tym kierunku nie mógł już iść na razie statut Towarzystwa dalej.

A teraz przystąpmy do warunków pracy każdego członka — jako robotnika — w warstatach tej spółki.

W Bystrzycy było — jak wyżej powiedziano — 27 majstrów rymarskich, którzy utrzymując własne warstaty, albo sami w tychże pracowali, lub też przy pomocy uczniów i czeladników. Dawniej — już liczba sama wskazuje, że im się musiało wieść jako tako; — gdy jednak zaczęły się podnosić tak zwane wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe, wielcy fabrykanci, biorący w monopolnietylko specyalne wyroby fabryczne, ale i rękodzieło, — to rzecz jasna, że przy pomocy wielkich kapitałów, motorów parowych, maszyn i kosztowniejszych narzędzi, jakich rękodzielnik jako jednostka posiadać nie może, wobec takich warunków nader trudnego, a nawet wprost niemożebnego współzawodnictwa, musiało rękodzielnictwo stanąć nad przepaścią powszechnej ruiny. Groza ta jest główną przyczyną wzmożenia się prądu socyalistycznego; — gdy apostołowie tegoż nie wszyscy są powołani na to kapłaństwo i nie liczą się zbyt ściśle z moralnością ludzkości, a nawet prawo natury, które się żadnym przewrotem z dziejów ludzkości wykreślić nie da, jest przez to apostolstwo nader względnie i błędnie pojmowane i wyjaśniane, jeżeli nawet ognisko domowe i rodzinne uważa za rzeczy przestarzałe.

— Przewrot społeczny — za jakąbądź cenę i w jakichbądź formach — oto ostatnie słowo tego apostolstwa.

Otóż przyznać nam się należy otwarcie, że i my nie potępiamy, ani bezwzględnie też nie odrzucamy rozwiązania idei socyalnej, a w szczególności kwestyi robotniczej, chociażby tylko na razie w dziale rękodzielnictwa i przemysłu. Lecz dalecy jesteśmy od tak płytkich pojęć, aby podzieliwszy całą ludzkość na oddziały i poznaczywszy takowe numerami porządkowymi, zrównawszy wszystkich pod jeden strychulec miary, a rodzinę zamieniwszy tylko na mężczyznę i kobietę, pod tymi kardynalnymi warunkami miała być już rozwiązana sprawa socyalna ludzkości.

My powiemy, — od takiego rozwiązania chroń nas Boże, w którego potęgę — niestety w żaden sposób nie wierzyć nie możemy.

Chcemy i żądamy zmiany stosunków społecznych, ale w warunkach dalako spokojniejszych, a przedewszystkiem opierających się chociażby tylko na elementarnych zasadach moralności ludzkiej, dla której węgielnym kamieniem są znowu: — ognisko domowe i węzły rodzinne.

Tak też pojęli i rymarze bystrzyccy swoje wielkie zadanie, budując wał obronny przeciw przemocy kapitału i zachłanności wyzyskiwaczy.

Oto gdy spółka została zawiązaną, wstąpili do niej majstrowie bystrzyccy jako robotnicy, ale nie sami, lecz z swoją czeladzią i uczniami, a narzędzia ich, zapasy i materyały przyjęte zostały przez spółkę jako wkłady na ich rzecz oszacowane sumiennie, jako gotówka pieniężna. I od tej chwili do ich ognisk domowych, pod ich dachy, zawitał spokój, zawitał sen błogi po pracy dziennej, w chacie przestało dokuczać zimno, a codzienne ciepło podczas mrozów i zamieci budziło nowe siły w ciele i w duszy; rodzina i jej współpracownicy są od tego czasu syci i odziani; głowa domu nie troszczy się, czy jutro znowu znajdzie pracę, czy jej nie braknie kawałka chleba, a chociażby tylko skromnego grosza na codzienne wydatki, aby opłacić czeladź i wyżywić uczniów, — lub też jeżeli się znalazło robotę a nie uzyskało na nią zaliczki, zkąd wziąć pieniędzy na materyał niezbędny?

Te wszystkie troski usunięte zostały jakby różczką czarodziejską, a rymarze bystrzyccy znaleźli się w nowej epoce żywota pracy, z niepłonną nadzieją lepszej przyszłości.

Połączeni we wspólnych warstatach, nie naruszając w niczem ognisk domowych, poddając się jedynie prawidłowemu porządkowi pracy, pojąwszy od razu niezbędną karność i uzasadnione posłuszeństwo tym, których na kierowników z pomiędzy siebie wybrali, tworzą już dzisiaj jedną bratnią gminę rodzinną. A jak to przysłowie stare mówi: — „gromada to wielki człowiek" — odczuwają już dzisiaj tę niezaprzeczoną prawdę.

Zgromadziwszy się w tych warstatach, znaleźli takowe urządzone podług wszelkich warunków zdrowotnych, a podzielone na oddziały, w których każdy majster z czeladzią i uczniami pracuje jakby samodzielnie, i chętnie poddaje się jak najściślejszej, najostrzejszej kontroli.

Otrzymuje każdy do wykonania roboty takie, w których jest najwięcej uzdolniony.

Towarzystwo zobowiązane jest dostarczyć mu pracy, ile on jest w stanie wykonać z uczniami i czeladzią, codziennie i przez cały rok.

Towarzystwo dostarcza mu wszelkich potrzebnych materyałów i w jak najlepszych gatunkach. W głównym dziale warstatów znajduje do użytku swego te wszystkie przyrządy i narzędzia, którychby dla ułatwienia i przyspieszenia pracy, jako biedniejszy, a nawet zamożniejszy majster we własnym warstacie w domu mieć nie mógł.

Nie obciąża go staranie się o pracę i zbyt tejże, oraz wycofywanie zapłaty za wyroby od klientów.

Pracuje w warstatach albo na dniówkę, lub też od sztuki po cenach umiarkowanych, ale uczciwych, i nie wyzyskujących jego sił.

Przy końcu każdego tygodnia otrzymuje zapłatę za dzienną pracę czeladników i uczniów, lub też odpowiednią zaliczkę za robotę akordową, co mu umożebnia prawidłowe utrzymanie bytu siebie i rodziny.

A jakto wyżej przytoczono w statutach, w ważniejszych potrzebach ma zawsze źródło, z którego czerpie we wspólnej kasie towarzystwa, w czystym zysku, przypadającym na jego udział.

Organizacya całej tej pracy spółkowej jest wzorową, a to zawdzięczać należy jedynie temu, że:

1) Spółka złożona jest z ludzi zbliżonych do siebie wykształceniem, pojmujących doniosłość takiej zbiorowej pracy, ogrzanych obopólnem zaufaniem z ścisłem zastósowaniem się do ustaw, obowiązujących każdego członka Towarzystwa.

2) Ciekawym jest nadzwyczaj jedyny może w swoim rodzaju t. zw. — „porządek domowy" — (Hausordnung). — Na pierwszy rzut oka

zdaje się on być nazbyt surowym, krępującym zanadto wolę każdego pracownika w warstatach, lecz zastanowiwszy się bliżej, tak nie jest, jeżeli zważymy, pod jak surowymi warunkami oddane jest członkom Wydziału Towarzystwa mienie wszystkich członków, byt i przyszłość ich rodzin.

Jeżeli Towarzystwo zbiorowo pojmowane nałożyło na przełożonych tej wielkiej pracowni rzeczywiście surowe warunki do spełniania i odpowiedzialność, to i Wydział zmuszony był zaprowadzić regulamin dla współpracowników równej siły.

Jeżeli się przypatrzymy teraz działalności spółki rymarzy w Bystrzycy, przyznać im należy, że po dwóch latach ich bytu stanęli już na silnych podstawach, a rozwój ich pracy zasługuje na wszelkie uznanie.

Gdy dawniej rymarze ci produkowali li tylko wyroby swe dla włościan, dziś praca ta rozszerzyła się do potrzeb wszystkich warstw społecznych i zawodów. Utorowali oni sobie już dregę do Pesztu a nawet i Wiednia, i przekonali się, że mogą korzystnie konkurować nawet z największymi zakładami fabrycznymi w tym kierunku.

Ten dobry przykład gdy stał się ciałem, obudził natychmiast z martwoty i inne korporacye. I tak:

Widząc w takiem stowarzyszeniu jedyną dziś dźwignię polepszenia bytu, zawiązało się w Bystrzycy Towarzystwo na tych samych warunkach piętnastu kapeluszników.

Kapelusznictwo tamże od niepamiętnych czasów pracując jedynie dla włościan, miało powodzenie, lecz od lat kilkunastu przemysł ten zaczął upadać i zeszedł tak samo jak rymarstwo, na biedę i nędzę.

Na wystawie czerniowieckiej przedstawiło to Towarzystwo ciekawy zbiór kapeluszy włościańskich, jakie w Siedmiogrodzie noszone były od początku tego wieku i jakim zmianom ta moda ulegała. Była to rzeczywiście ciekawa i cenna kolekcya dla zbiorów etnograficznych. Ostatni numer z tych okazów wyrabiany jest aż do tej chwili w Towarzystwie połączonych kapeluszników.

O lepszych wyrobach, mogących znaleść zbyt na szerszej targowej arenie, nie mieli bystrzyccy kapelusznicy nawet wyobrażenia. Gdy jednak wykształciło się kilku dzielnych pracowników, zawiązało się Towarzystwo i już w drugim roku tak znacznie postąpiło, że dziś wyroby jego, mianowicie kapelusze miękkie, pilśniowe, tak pod względem jakości jakoteż i ceny, śmiało współzawodniczą z najpierwszymi zakładami kapelusznictwa w Austro-Węgrzech; — dola zaś rodzin członków Towarzystwa zmieniła się do niepoznania na lepsze.

Za kapelusznikami poszli grzebieniarze. Towarzystwo to istnieje za zbyt któtko, bo dopiero od kilku miesięcy, aby się można o niem szerzej rozpisywać, lecz korespondencya najświeższa, którą otrzymaliśmy, mówi, że można i temu Towarzystwu rokować lepszą przyszłość i szybki rozwój.

Najnowsze zaś Towarzystwo utworzyli garbarze w miesiącu Wrześniu i rozpoczęli swą pracę we własnej fabryce, a od kilku tygodni weszły u nich w ruch motory parowe. Budynki odpowiednie i motory kosztowały 38.000 zł., wewnętrzne urządzenie i narzędzia pokryli pojedyncy członkowie. Motory parowe w zastósowaniu przez garbarzy okazały się tak praktyczne, że już i kapelusznicy postanowili je u siebie zastósować.

Nareszcie są widoki, że i inne korporacye rękodzielnicze zechcą się niebawem zawiązać w Towarzystwa, jak powyższe.

Wszystkie te wiadomości mamy do zawdzięczenia na początku wymienionemu panu Karolowi Csallner, z którego listu przytaczamy jeszcze następujące ustępy;

„Praca w warstatach naszych zrodziła i to dobre, że usunęła odrębne metody, podług których każdy pojedynczy majster pracował, a utworzyła się jedna, która całej produkcyi nadaje wybitny charakter jednolitości. I to jest dla Towarzystwa największą pociesząjące, że wszyscy, nawet najstarsi majstrowie poddali się tej metodzie i za żadną cenę nie cofnęliby się wstecz. Muszę jednak zwrócić uwagę na rzecz nader wielkiego znaczenia, a mianowicie, że tylko tacy rękodzielnicy mogą się wiązać w takie Towarzystwo jak nasze, jeżeli stoją na równym stopniu wykształcenia, będą umieli zrozumieć własne dobro i korzyści, jakie stowarzyszenie takie z sobą przynosi. Oprócz tego muszą być wolni od wszelkiego sobkostwa i osobistej zachłanności i muszą być ożywieni duchem dobrej wspólnej sprawy i mieć tylko jedno hasło: — „Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich!"

Bez tego ożywienia duchem jedności i zgody, żadne stowarzyszenia i spółki nie pomogą!"

(Dok. nast.)

Korespondencye.

Z nad granicy Królestwa Polskiego,

12. Grudnia 1886.

Jak dziwnie szybko zrazić do siebie umieją Moskale, przekonywa także zachowanie się w obec nich Bułgarów.

Oswobodzili ich z jarzma tureckiego na to, aby wziąć pod swoje nierównie cięższe i gorsze jarzmo carskie. Bułgarowie to poznali i nienawidzą dzisiaj gorzej Moskali niż Turków, chociaż nie mieli jeszcze sposobności doświadczyć jak my całego ciężaru rządów moskiewskich.

Do tych rządów wzdychają tylko narody, do niewoli zrodzone lub usposobione niewolniczo, bez godności i samoistności. Narody zaś żywotności pełne, przeznaczone do spełniania ważnych w ludzkości zadań, narody dzielne i szlachetne, odpychać będą stanowczo rządy despotyczne Moskwy, jak je odpychają Polacy i Bułgarzy.

Przyciśnieni stopą tak wielkiej potencji, rozbrojeni i opuszczeni, znosimy chwilowo te rządy, co w nas nawet ludzkiej istoty nie poszanowały. Lecz gdy nadejdzie czas sprzyjający nam, przekona się znowuż świat, żeśmy ducha wolności i niepodległości nie utracili, — że męczarnie nieustające a srogie, na niewolników nas nie przerobiły i że rządami najstraszniejszego terroryzmu nie napędzili nam Moskale chęci wyzucia się z charakteru narodowego.

Cisza więzienna u nas panuje, przerywana tylko skargami wielkiego cierpienia, ale w tej ciszy stał się fakt wielkiej doniosłości i wiele mówiący, wytrwania przy prawie swojem, jakoż naród polski w nieszczęściu i w prześladowaniu nie zrobił ani jednego kroku, któryby uważać można za dobrowolne uznanie i dobrowolne poddanie się rządowi carskiemu. Wszyscy zaś, co wywiesili chorągiew zbliżenia się lub zlania z Moskwą, pozostali odosobnieni! Milczeniem naród odpowiadał tym apostołom niewoli, w imię słowiańszczyzny wzywającym Polaków do zrzeczenia się samoistności na rzecz Moskali.

Takiem też milczeniem naród odpowiedział panu Waleremu Przyborowskiemu, powieściopisarzowi i redaktorowi dziennika *Chwili*.

Założył go w celu pojednania Polaków z Moskalami i przemawiał za braterską zgodą wtedy właśnie, kiedy pani Hurko, Apuchtin, Kryłow, Kochanow, Drenteln i tysiące innych carzyków w imię wielkiego cara jak najsrożej prześladuje polską narodowość, wiarę i prawa polskiego narodu. Głosu p. Przyborowskiego nie poparł ani jeden głos moskiewski.

Chwila dla braku prenumeratorów zamienioną została po kilku miesiącach z codziennego pisma na tygodnik, bez subwencyi bowiem rządowej nie mogła się utrzymać. Ale i w tej nowej formie byt jej był krótkotrwały, i przed kilku miesiącami — przestała wychodzić.

Doniosły dzienniki lwowskie, że podobno p. Spasowicz miał zamiar wskrzesić *Chwilę* i wydawać ją znowuż jako dziennik, redakcyę zaś zamierzał powierzyć innemu powieściopisarzowi p. J. Rogoszowi z Galicyi, — lecz była to tylko pogłoska oparta na tem, że sławny petersburski adwokat jest filarem polsko-moskiewskiego stronnictwa.

Upadek *Chwili*, bynajmniej nas nie zadziwił. Podstawa, na której wsparła się, była fałszywa, cel, do którego dążyła był fikcyą, upaść więc musiała. Byt jej był niemożebnym wobec faktu, że Moskale słyszeć nie chcą o zadowoleniu najskromniejszych życzeń polskiego narodu, i wcale nie myślą o braterskiem i ludzkiem traktowaniu Polaków. Gdy szczerze, jawnie przyznają się do zamiaru zupełnego wyniszczenia nas, każde słowo o pojednaniu z ust Polaka wychodzące, robić musi i robi wrażenie namowy do samobójstwa. Stosunek pomiędzy nami a nimi jest stosunkiem ofiary do kata. Czyż więc może być na seryo mowa o pojednaniu w takim stosunku zostających narodów?

Pojednawcy, to jest polscy moskalofile, głoszą się za trzeźwych, rozumnych polityków, nam zaś, którzy stoimy niewzruszeni na gruncie prawa narodowego i dążymy do samoistności Polski, zarzucają idealną, uczuciową politykę, która się nie obrachowuje z danemi okolicznościami.

Jak błahym jest taki zarzut, każdy rozsądny to widzi. Ci wszyscy, co nam robią zarzut niepraktyczności, działają właśnie wbrew warunkom dawnego położenia i rzeczywistemu usposobieniu Moskali. Przemawiają o ich słowiańskich uczuciach, do nich się odwołują, a tych uczuć i pojednawczego usposobienia wywołać nie są w możności.

Zamiast zwrócić się do Moskali, do rządu carskiego ze słowem namowy do pojednania, oni się do nas zwracają i wołają do skrępowanych, powalonych i bitych: —" jednajcie się z bijącymi was Moskalami! Jakże to głupia i brzydka rola takiego pojednawcy! Jakże ograniczony horynont jego poglądu, jeżeli nie widzi, że wobec polityki wynarodowienia i gwałtownego systemu moskalenia, słowa pojednania brzmią jako szyderstwo i urąganie z niedoli nieszczęśliwego narodu!

Wierzymy, że pan Walery Przyborowski nie był kupionym przez rząd gazeciarzem; wierzymy, iż był przekonany, że jego polityka pojednania sprowadzi ulgę w ciężkiej niewoli narodu, że wyjdzie ona na pożytek Polski i na pożytek Rossyi, lecz wydziwić się nie możemy, iż p. Walery Przyborowski, który ma piękne wspomnienia z swojego życia, bo walczył chwalebnie jako oficer powstania 1863 r. i znanym jest jako zdolny powieściopisarz, mógł uwierzyć po tylu doświadczeniach w skłonność do jakichkolwiek ustępstw ze strony carskiego rządu. Rząd ten wtedy zaofiaruje nam narodowe instytucye, gdy będzie pobitym lub w inny sposób zmuszonym.

Szkoda nam i żal p. Przyborowskiego, bo skompromitował się niepotrzebnie przez redagowanie *Chwili* i wiele potrzeba z jego strony usiłowań i pracy, ażeby naród zapomniał mu niefortunnego pomysłu, apostołowania dobrowolnej uległości pomiędzy zakutymi w pęta niewoli. Jeżeli spokojne, cierpliwe znoszenie niewoli nie zmieniło moskiewskiego systemu wyniszczania, czyż może go zmienić jakakolwiek publikacya? Doradzanie zmiany kierunku politycznego nie powinno mieć miejsca pod rządem carskim, gdzie zajmowanie się polityką jest rzeczą zakazaną!

Niechże nie przepadają bez korzyści doświadczenia, jakie porobili ci wszyscy, ktorzy rządowi moskiewskiemu zaufali.

Margrabia ***Wielopolski*** wywołał powstanie, bo myślał, że po stłumieniu go będzie mógł w Polsce rządzić w kierunku pojednania, ale został przez rząd carski odtrącony i umarł w Dreznie jakby na wygnaniu.

Michał Czajkowski sądził, iż bezwarunkową uległością, wyparciem się przeszłości, potępieniem patryotycznej polityki i zmianą religii, doprowadzi rząd moskiewski do pojednania i rządzenia w Polsce zgodnego z zasadami sprawiedliwości, lecz przekonawszy się, że dobrowolne jego zhańbienie się było bezskutecznem, z rozpaczy odebrał sobie życie.

Ks. ***Karol Mikoszewski*** rozwinął chorągiew panslawistyczną w mniemaniu, iż pod jej osłoną nastąpi pojednanie i zmiana systemu rządzenia Polakami. Rząd wysłał go do Woronieża na wygnanie, ażeby tam poznał rzeczywiście jego intencye. Skruszony, po wyjeździe za granicę, przyznał się publicznie do grzechu i ostrzegając przed podobnym błędem rodaków, umarł na tułactwie w Budapeszcie.

Pan ***Walery Przyborowski*** wydawaniem gazety przyjaznej Moskalom, nie zdołał ani jednego z ich liczby natchnąć chęcią pojednania z Polakami i nie wyjednał najmniejszej ulgi dla narodowości polskiej.

Pan ***Spasowicz***, p. ***Pilz*** i współpracownicy ich w ***Kraju*** petersburskim, nie zdołali moskalofilską polityką wyjednać złagodzenia najdzikszych rozporządzeń i rozkazów wydanych w celu ustawicznego nękania naszego narodu i tyrańskiego sposobu wydzierania mu jego języka, własności i wiary.

Cała tak zwana postępowa w Warszawie prasa, aczkolwiek działa w kierunku, który dla rządu moskiewskiego nie jest bynajmniej szkodliwym, przecież nie tylko nie zachęciła tegoż rządu do zmiany systemu, ale owszem, utwierdziła go w postanowieniu utrzymania takowego w całej jego grozie.

Tak moskalofile, wielopolczycy jak postępowcy, zapomnieli o tem, że rząd moskiewski cofa się tylko pod przymusem, że gdzie się spodziewa silnego oporu, tam wstrzymuje się z moskalizacyą; że bierność, uległość, posłuszeństwo — zaostrza w nim właściwe instynkta.

Ich propaganda przeciwko powstaniom, spiskom i polityce samoistnej, wyniknęła z myśli wyjednania u rządu carskiego znośnych warunków bytu dla naszego narodu. W praktyce atoli okazała się bardzo szkodliwą, bo rząd moskiewski uważając zmianę zaszłą za skutek swojego eksterminacyjnego rządzenia, wyciągnął wniosek dalszego utrzymania tegoż systemu rządzenia.

Uległość więc, bierność, posłuszeństwo, tak gorliwie nam zalecane przez lat dwadzieścia przeszło, wyszły na złe dla narodowej sprawy.

Czas wielki zaiste, ażebyśmy zastanowili się nad szkodliwością kierunków przeciwnych powstaniom, agitacyom, manifestacyom i działaniom anti-rządowym, jakich się dotąd trzymają u nas kierownicy opinii publicznej — i powrócili na rozumniejsze stanowisko.

Herne, 6. stycznia. W pierwsze święto Bożego Narodzenia obchodziliśmy tu w Westfalii **gwiazdkę**, na którą zebrali się liczni członkowie Towarzystwa św. Stanisława; niektórzy z członków przyprowadzili swe żony z dziećmi; śpiewano pieśni, kantyczki; rozdawano jabłka, orzechy i opłatki. I był każdy uszczęśliwiony w tak uroczystym dniu, bo niejeden może w Westfalii

takiej gwiazdki nie obchodził, a w Towarzystwie to się po polsku rozweselił, a niejednemu przypomniało się rodzinne kółko, jak tam zasiedli koło stołu z rodzinami, siostrami, braćmi i smaczne zajadali owe dziewięć potraw. Ale tu w Westfalii tak nie jest, a żal mi jest tych Polaków, co nie należą do Towarzystwa, bo nie znają takiej uroczystości tu w Westfalii, jak nasi Rodacy w Polsce.

W święta była uciecha, a w tydzień później był smutek, bo jeden z członków naszego Towarzystwa został zaduszony kamieniami w pieczarach kopalni węgla Klärget pod Recklinghausen i ów członek nie doczekał się Nowego Roku. Nasze Towarzystwo było uwiadomione przez urzędników tejże kopalni o tem nieszczęściu, więc w drugie święto Nowego Roku pogrzebalim naszego Rodaka w obczyźnie. Podczas eksportacyi z Klärget do Recklinghausen śpiewano pieśń „Kto się w opiekę“ i tak przez miasto przeszlim aż na cmentarz i tam po pochowaniu ś. p. Filipa Przybyły zaśpiewaliśmy „Witaj Królowo.“

Członkowie Towarzystwa byli w czerwonych rogatkach i oznakach i było ich około czterdziestu, a Niemcy przypatrywali się jak na ragorów, bo oni myślą, że cały świat idzie na pogrzeb tylko w frakach i cylindrach, w białych rękawiczkach, a my Polacy szliśmy w czerwonych rogatkach i oznakach i pod chorągwią, a pomiędzy sobą romawiali, że Polacy do tańca i do różańca, i potem zmówiliśmy kilka pacierzy za duszę zmarłego i tak wróciliśmy po nabożeństwie do domu do Herny. *(Orędownik.)*

KRONIKA.

Kopiec Unii. — Dzienniki lwowskie, podały następujące sprawozdanie o budowie tego pomnika narodowego:

„**Kopiec Unii lubelskiej.** Wykaz ogłoszony w *Dzienniku polskim* z d. 10. grudnia 1885 nr. 282, zawierał dochód i rozchód aż po dzień 1. grudnia 1885 r.

Od 1. grudnia 1885 r. aż po dzień ostatni grudnia 1886 r. wpłynęło: Subwencya miasta Lwowa 500 złr. Wybrano z puszek: u Stadtmüllera 15 złr. 70 ct., w mieście 12·36, w Wydziale kraj. 10·29. na kopcu 15·82. Ofiarowali dr. Hoszard Franciszek 20 złr., Sobota Karol 10 złr., Sklepiński Karol 5 złr. przez Karola Widmana 1·40, technicy podczas zjazdu 8 złr., łącznie . . . . 598 złr. 57 ct.

Rozchód w tym samym czasie (wliczając i kupno kamienia ze zwózką na kopiec w kwocie 1523 złr. 40 ct.) wynsił . . . 5410 złr. 93 ct.

niedobór . 4812 „ 36 „

Od początku budowy aż po koniec 1886 r. czynił:

rozchód . . . 36.755 złr. 32 ct.

dochód . . . 8.203 „ 92 „

niedobór w kwocie . 28.552 złr. 40 ct. pokryłem z własnych funduszów.

Lwów 31. grudnia 1886 r.

Dr. *Franciszek Smolka*“.

Umieściwszy to sprawozdanie — przeszły nad niem dzienniki bez najmniejszej uwagi ze swej strony do porządku dziennego, bez jakiegowolwiek objawu wrażenia. — Dziwna rzecz; myśmy to sprawozdanie zupełnie inaczej odczuli — ot — tak np. jak gdyby ktoś za pomocą iskry elektrycznej, udzielił całemu naszemu społeczeństwu galicyjskiemu, nader dotkliwy policzek. — Spojrzawszy w zwierciadło, spostrzegliśmy, że rzeczywiście — chociaż policzka nie było — ale pomimo to, lica nasze zapłonęły rumieńcem wstydu, wielce upokarzającego nasze poczucie i honor narodowy. — Długośmy dumali, a duszę opanował wielki smutek, dając sobie następujące pytania:

Jakto? — Naród — w poczuciu uwidocznienia i zatwierdzenia; dla nas wielkiego faktu dziejowego, postanowił zbudować pomnik, któryby odpowiadał mogiłom Krakusa, Wandy i Kościuszki — a działo się to roku pańskiego 1869. — Od tego czasu upłynęło lat 17, — i zaledwie w połowie dzieło to zostało wykonane.

Zapytujemy — coby się też dotąd było stało z tym wielkim porywem patryotycznych szczerych chęci, gdyby Franiszek Smolka z jakiegobądź powodu usunął się od tego poczucia obowiązku obywatelskiego? — Coby się było dotąd stało z tym pagórkiem, który z takim zapałem z początku sypano, a dziś, czy moda ta przestarzała — mało się kto troszczy o losy kopca Unii? — Oto deszcze i wichry byłyby go spłukały i rozwiały na wszystkie strony świata, — i spadłaby zasłona po odegranej komedyi patryotycznej.

Wiadomo nam przecież dobrze, że Franciszek Smolka, nie jest nietylko Krezusem, ale nawet w pospolitem znaczeniu bogaczem — jak więc naród może żądać od niego i patrzyć spokojnie, gdy ten na budowę kopca, aby zasłonić temsamem upokorzenie honoru narodowego wydaje 28000 zł.? — gdy ten starzec upada latem od znużenia — i może nam go każdego dnia zabraknąć na kopcu?

Taka obojętność — takie lekceważenie obowiązków, jest zaiste — tego rodzaju, dla którego trudno znaleść odpowiedniej nazwy.

Gdy Franciszek Smolka — zapominając o rodzinie — o swej starości — mógł się podnieść do takiej ofiarności — na cóż się zdobył kraj — naród.

Jeszcze jedna uwaga; żyjemy jak wiadomo w czasach — w których niepewnem jest, co jutro przyniesie. — W takiej chwili — winien być taki pomnik narodowy skończony, aby świadczył o naszej silnej woli — o naszem niezłomnem poczuciu. Niechże więc ten kraj, ten naród, wyręczy strudzonego starca, nie czeka, aż padnie na tym kopcu bez życia — i dokończy tego dzieła, aby się potomkowie nasi za nas niepotrzebowali rumienić.

J. N. z O. G.

Rewindykacya pamiątki narodowej. W roku 1863. patryotyczne Polki ofiarowały sztandar nader cenny dla oddziału Lelewela Borelowskiego. Sztandar ten przedstawiał z jednej strony herby Polski, Litwy i Rusi, z drugiej obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, który to ostatni obsypany był formalnie perłami i drogimi kamieniami. Godło to bojownicze tylko raz było rozpuszczone przy defiladzie oddziałów powstańczych, a następnie wożone było przez chorążego w pokrowcu skórzanym.

Po bitwie pod Panasówką i pod Batorzem ranny rotmistrz **D.**, któremu powierzone było strzeżenie sztandaru, gdy resztki oddziału rozbitego przechodziły do Galicyi, powierzył ten sztandar porucznikowi **K.** do pilnowania i bezpiecznego zachowania. Faktem jest, że sztandar ten przywieziony był do dworu porucznika **K.**, obecnie żyjącego obywatela ziemskiego.

Sztandar ten poszedł w niepamięć; aż dopiero trzeci rok temu, gdy zaczęły krążyć różne wieści, a grono towarzyszy z pod Panasówki zjechało się do Lwowa, sprawa sztandaru została podniesioną i depozytaryusza zapytano o losy tej drogiej pamiątki narodowej.

Pan K., były porucznik, tłumaczył się, że nie wie co się ze sztandarem stało, bo go miał zabrać p. **S.** Całe dochodzenie i tłumaczenie było niejasne, aż wreszcie koledzy włożyli obowiązek na p. **K.** że tenże pamiątkę tę odszuka — i bez względu na ozdoby z pereł i drogich kamieni, przesłaną zostanie do Muzeum narodowego w Rapperswyl.

Otóż gdy już dwie osobistości, które złożyły ważne zeznania w tej sprawie — umarły, nie można więc czekać, aż reszta żyjących świadków żyć przestanie — i gdy pan **K.** nie wywiązał się dotychczas przez lat dwa z przyrzeczenia, — wzywa go się po raz ostatni, aby zawiadomił tych co żyją jeszcze i dał objaśnienie, co się stało z tą cenną pamiątką narodową — i jakie poczynił kroki do odnalezienia?

Jeżeli p. **K.** nie da bezzwłocznie zadowalniających wyjaśnień, sprawa ta będzie wyraźniej podniesioną, z opisem wszelkich szczegółów przy oddaniu w opiekę panu **K.** sztandaru — i cały przebieg zjazdu przed dwoma laty.

Środek na „łapowników.“ Stany zjednoczone robią porządek między łapownikami. Sądy przysięgłych w Nowym Yorku skazały znów jednego z bogaczów, radcę miasta, Quadego — za różne „datki“ które pobierał, na 5 lat domu karnego i 5.000 dolarów karę.

Jakimś szczególnym zbiegiem okoliczności, podają nietylko zagraniczne, ale i nasze krajowe dzienniki tę wiadomość, gdy po Lwowie zaczęły coraz głośniej szerzyć się następujące opowiadania:

Wiadomo, że kontrakt, jaki miasto zawarło z Towarzystwem Tramwajowem, nie odznacza się nader korzystnymi warunkami dla naszej stołecznej gminy. — Że Towarzystwo robi świetne interesa, to rzecz pewna. Obecnie Rada miasta usiłuje wymódz na Towarzystwie obniżenie ceny jazdy dla publiczności; Towarzystwo jednak ani chce słyszeć o tem, lub kładzie takie warunki, na które znowu Rada miasta przystać nie może.

Otóż jeden z ojców miasta miał się spotkać z jednym z głównych funkcyonaryuszów Towarzystwa tramwajowego i zapytał go, dlaczego Towarzystwo nie chce się nakłonić do obniżki ceny jazdy, kiedy robi tak dobre interesa?

Funkcyonaryusz odpowiedział, że powodem tego jest nadzwyczaj droga budowa linii tramwajowej, bo kosztowała 350.000 złr.

Ojciec miasta, człowiek fachowy w takich rzeczach oświadczył, że to trudne do uwierzenia, gdyż studyując budowę tramwaju w innych miastach wielkich, większych jak Lwów, przekonał się, że taka sama przestrzeń kosztowała tam 220, a najwyżej 250.000 złr., a więc o 100.000 mniej.

— „Masz pan zupełną słuszność — odparł funkcyonaryusz — ale należy panu wiedzieć, że musieliśmy we Lwowie rozdać 100.000 złr., zaczem otrzymaliśmy koncesyę.

Można sobie wyobrazić zdumienie ojca miasta.

Wieść ta rozeszła się lotem błyskawicy po Lwowie, a osoby wiarogodne twierdzą, że ów funkcyonaryusz tramwajowy rzeczywiście dał takie objaśnienie pewnemu ojcu miasta.

Zdaje nam się, że wieść ta za zbyt głośną się już stała, aby ją można lekceważyć i powiedzieć: — „Schwamm drüber“ — bo nie wiedząc kogo się ona dotyczy, można przypuszczać, że ówcześni „Quady“ czy „Quadowie“ — którzy spowodowali zawarcie takiego kontraktu — jeszcze dziś zasiadają w Radzie miasta, a podejrzenie takie byłoby wysoce ubliżającem. Obecna Rada miasta nie powinna więc tych plotek puszczać mimo uszu, ale sprawę tę oddać tam gdzie ona należy, gdyż w żaden sposób nie można jej uważać za przestarzałą.

O urzędzie budowniczym lwowskim krąży również niemniej ciekawa wieść, która jeżeli jest prawdziwą, to zaiste daje nader smutne świadectwo temu urzędowi, pod względem sumiennej dbałości o dobro gminy, która ten urząd drogo opłaca.

Jak wiadomo, generalna Dyrekcya kolei państwowej kupiła pod budowę plac przy ulicy Trzeciego Maja i od strony hotelu Angielskiego. Kontrakt opiewa, że Dyrekcya kupuje **1059** sążni za taką a taką sumę ryczałtową tę przestrzeń. Jeżeli więc urząd budowniczy wyraźnie oznacza ilość sążni, to naturalnie musiał nietylko orzec na podstawie swych map, ale miał obowiązek, gdyby to był nawet najmniejszy plac, stwierdzić, ile jest rzeczywiście przestrzeni. — Tej pracy nie zadał sobie widocznie urząd budowniczy, lub też polecił tę sprawę nieumiejętnemu funkcyonaryuszowi. I cóż się pokazuje? Oto Dyrekcya kolei weszła w posiadanie placu pod budowę o 80 sążni większego, a gmina miasta straciła bagatelkę — bo tylko 3500 złr.

Fakt ten nie jest jednak odosobniony, bo taka sama pomyłka zaszła już przed 10 laty na gródeckiem, gdy miasto sprzedawało plac pod fabrykę ówczesną Freundta. Miało tam być również coś zahipotekowanem na rzecz miasta, lecz to zabezpieczenie dotąd nie zostało uskutecznione. — Jeżeli tak dalej będzie urząd budowniczy miejski spełniał sumiennie swoje obowiązki, to poważna część majątku gminy stopnieć musi jak kamfora bez pieprzu. — Czy Rada miasta nie uzna jak najspieszniej za właściwe, aby tej gospodarce urzędu budowniczego położyć już raz koniec?

Pod rządem moskiewskim tworzenie instytucyi dobra publicznego, jest marnowaniem czasu i pieniędzy. Każdej bowiem z tych instytucyi nadają samowolnie inne przeznaczenie, usiłując ją zamienić na narzędzie moskalizacyi.

Wiadomo z jakim mozołem wzniesiono ze składek publiczności w *Studzieńcu* zakład dla małoletnich przestępców. Naród polski nie szczędził dobrowolnych ofiar i dzięki tej ofiarności i rozumnemu przewodnictwu stanął jeden z najpiękniejszych filantropijnych zakładów, żaden bowiem tegoż rodzaju zakład w Europie, nie dał się porównać z zakładem w Studzieńcu. Małoletni przestępcy wychodzili z niego rzeczywiście poprawieni i rzeczywiście użyteczni społeczeństwu ludzie. Apuchtin, którego zadaniem psuć i moskwiczyć wszystko, kazał do nauki wychowańców używać języka moskiewskiego, zaprowadził rządową kontrolę, co doprowadzi do upadku.

Jeden z korespondentów tak o tym fakcie pisze: „Na instytucyę w Studzieńcu wytworzoną i utrzymaną ofiarnością publiczną położyli Moskale swą łapę na to jedynie, aby ją przywieść do upadku. Powodem tego była wizyta naczelnika okręgu naukowego Apuchtina, który ze zgrozą przekonał się, że wychowańcy zakładu oprócz cara, nie umieli wymienić całej litanii dzieci cara i wielkich książąt i księżniczek. Mówią także, iż przyczynił się do tego były dyrektor“.

Składek na zarząd, w którym językiem wykładowym jest moskiewski i rząd się doń miesza, nikt z Polaków dawać już nie będzie i nie powinien.

Rząd niemiecki wydał „ukaz“ aby odtąd nietylko nauczyciele szkół średnich, ale i ludowych byli przesiedlani z Wielkopolski do odległych prowincyj niemieckich. Z powodu tego, czytamy w „Orędowniku poznańskim“:

„**Nauczyciel** pan Stopierzyński przy katolickiej szkole elementarnej w Czarnkowie przeniesiony zostanie z dniem 1 lutego do małej wioski Henau w nadreńskiej prowincyi“.

Rozczarowanie. W przeszłym numerze donieśliśmy z prawdziwem ukontentowaniem, że „*Dziennik polski*“, — przeszedł nareszcie w ręce nowych właścicieli — którzy dają rękojmię uczciwości obywatelskiej. — Otóż o tej uczciwości — i dziś jesteśmy tak samo przekonani. — Ale niestety to „ale“ — i tu się objawić musiało. — Nietylko my, ale szersza publiczność — ucieszyła się i to bardzo — zmianą właścicieli tego dziennika i była szczerze przekonaną, że ci ludzie aczkolwiek jeszcze stosunkowo młodzi do spełnienia takiego zadania, wprowadzą w „*Dziennik polski*“ ożywczą siłę i staną na stanowisku poglądów — któ-

rych kraj jest spragniony. — Nie stawiano nawet wielkich wymogów na początek, ale żądano tylko chociażby zaznaczenia charakteru, w jakim nastąpiło wrzekome odrodzenie. — A zaznaczamy i to, że ustąpienie p. Michała S a w i c k i e g o, przyjęte było prawie ogólnym poklaskiem.

Niestety, niepotrzeba było długo czekać, gdyż pół miesiąca wystarczy, aby nastąpiło znowu ogólne zdumienie i rozczarowanie — a to nawet pod względem najskomniejszych żądań i to nie — „warchołów“ — ale ludzi zupełnie spokojnych. Ot — pokazało się, że aczkolwiek uczciwość jest dziś bardzo wielką cnotą, to ona jednak sama nie wystarcza, aby mieć poczytalność odpowiednią do redagowania takiego pisma jak *„Dziennik polski“*. — Chcąc temu zadosyć uczynić, nie dosyć napisać jedną lub drugą komedyjkę — lub farsę sceniczną — albo kreować się samemu na recenzenta teatralnego, gdyż to dopiero jeden zlepek do całości dziennika.

Społeczeństwo lwowskie, a mianowicie — „warchoły“ — szybko jednak rozpoznają pozycyę — to też gdy pewien dowcipniś orzekł: — „N o w a R e d a k c y a D z i e n n i k a p o l s k i e g o“ — t o k o n s o r c y u m m ł o d y c h p r a k t y k a n t ó w n a r e c e n z e n t ó w t e a t r a l n y c h“, nazwa ta, zyskała już dziś prawie ogólne obywatelstwo. — I rzeczywiście musi to być prawdą, bo oprócz drukowanych ćwiczeń na tę nutę — reszta spraw dziennikarskich zdaje się bynajmniej nie intesować szanownej Redakcyi — a w pierwszym rzędzie — właściciel.

Czarne, piękne, szerokie linijki nie wystarczają jeszcze na oznaczenie odrodzenia i postępu pisma.

Jest jeszcze i druga zmiana — ale ta również stanowi niespodziankę dla tych czytelników, którzy na intencyę szczęśliwej podróży p. Michała S a w i c k i e g o do Wiednia, (dokąd rzeczywiście udał się na właściwą dla siebie arenę *Red.*) odmawiali modlitewkę.

Zmianą tą i niespodzianką, jest zaopatrywanie telegramów wiedeńskich znakiem: *(S)* który ma zapewne nie co innego oznaczać, jak to, że aczkolwiek nowonabywcy Dziennika zapłacili co do grosza należność p. S a w i c k i e m u, to jednak chcą uczynić wiadomem — że się nie zrzekli łączności duchowej z tym znakomitym dziennikarzem i dotychczasowym głównym filarem tegoż.

Nakoniec trzecia i najgłówniejsza zmiana jest ta, że gdy *Dziennik polski* — oburzał nader często kierunkiem jakim szedł, komu i czemu służył, to obecnie zapewne z powodu nadzwyczajnej skromności, stracił nietylko wszelką barwę ale i płeć rodzajową. — Stał się czemś nieokreślonem, a walczącem tylko o pierwszeństwo — z *Kuryerem* (ale nie lwowskim) — tylko *ogłoszeń*.

Dosyć jednak tej ironii, a pomówmy na seryo. — Zaiste — należałoby wiedzieć, kto też to stanowi w *Dzienniku polskim* obecnie Radę przyboczną właścicieli — i kto jest kierownikiem głównym tego pisma, bo znając dotychczasowy kierunek pracy, jakiej się pp. właściciele oddawali, to ośmielamy się wątpić, czy się na sobie ograniczają. — Tak jak się dotychczas *Dziennik polski* przedstawia, to wobec wielkiego nakładu kosztów, jakich takie pismo wymaga — nie wystarczy nigdy skórka za wyprawę, i taki *Dziennik polski* — nie ma najmniejszej racyi bytu — i jak długo pożyje, to nietrudno przewidzieć. — Same, chociażby najszczersze chęci, bez innych czynników, dzisiaj nie wystarczają.

J. N. z O. G.

Jak żydzi zdobywają ziemię galicyjską, czytamy w *Przeglądzie Społecznym*, o tem możemy mieć pojęcie z następujących liczb. W roku 1872 było w Galicyi ogółem 370 miasteczek, wsi i przysiołków w rękach żydów, a mianowicie w rękach 154 właścicieli lub spólników. Byli to sami właściciele większych posiadłości. Jaką przestrzeń zajmowała ta większa posiadłość, dokładnie nie wiemy, gdyż w skorowidzu Orzechowskiego nie we wszystkich miejscowościach jest podany rozmiar. W 162 z tych miejscowości większa własność wynosiła okrągłych 168.000 morgów, co znaczy przeciętnie przeszło 1000 morgów dla jednej posiadłości. Przypuszczając atoli że pozostałe 208 miejscowości, z których nie mamy podanej przestrzeni, są mniejsze i wynoszą przeciętnie tylko po 500 morgów, mielibyśmy w roku 1872 ogółem 272.000 morgów większych posiadłości w ręku żydów. A gdy cała większa własność galicyjska wynosi 5,773.000 morgów, więc własność żydowska w roku 1872 wynosiła niespełna dwudziestą część, czyli 471 procent.

W 17cie lat później, w roku 1886 skorowidz p. Bigo pokazuje nam następujące daty. Miast, miasteczek, wsi i przysiołków w ręku żydów jest 716, tj. omal, że nie dwa razy więcej. Właścicieli lub współwłaścicieli większych posiadłości — żydów jest 413, tj. omal że nie trzy razy tyle, ile było przed laty czternastu. Przestrzeni p. Bigo wcale nie podaje, ale jeżeli przyjmiemy tę samą proporcyę, co i poprzednio, tj. połowę tych posiadłości policzymy przeciętnie po 1000, a drugą połowę po 500 morgów, a otrzymamy przeszło pół mijona, bo 508.000 morgów większej tylko posiadłości w ręku żydów, a to znaczy już 8·80 procent całej przestrzeni wielkiej posiadłości.

Nie mamy zupełnie dat, któreby wskazywały, w jakiej proporcyi idzie zdobywanie przez żydów drobnej chłopskiej własności. Lecz, że i tutaj jest ono nie mniejsze, lecz przeciwnie, daleko większe w miarę ekonomicznej słabości przeciwnika, o tem przekona nas bodaj fakt, że w przeciągu 5 lat (1875—1879) nie mniej jak 4443 gospodarstw włościańskich żydzi wystawili na licytacyę. *(Kurjer Lwowski).*

Z pod Halicza. Dawna siedziba książąt ruskich stała się od niejakiego czasu ruchliwszą, a stosunki towarzyskie zaczynają dawać objawy życia. Mamy nowy dowód ten, że gdy tylko jeden człowiek stanie z silną wolą, z odpowiednim materyałem duchowym, porusza największą martwotę. A że takowej nie brakło w Haliczu, to wiadomo powszechnie w całej okolicy. Przybył do nas dr. K. z Grawozy, okulista i operator, którego zdolności mieliśmy już dostateczny czas ocenić. Lecz nie jest dla nas tylko pożądanym lekarzem ciała, ale i duszy, — a dzielnie mu w tem dopomaga jego zacna małżonka, osoba z wyższem wykształceniem. Wpływ takiego domu stał się nader pożądany. Pani K. jest z rodu Litwinką, która w ośmnastym roku życia musiała opuścić ukochaną Litwę. Z jej to teki zdobyłem (prawda, że niezupełnie legalnie) ten utwor poetyczny, który wam przysyłam: — „Pożegnanie Niemna“ — a przekonany jestem, że dając wiersz ten do fejletonu „Strażnicy polskiej“ — przyjmiecie go z radością. Dr. K. posiada nader piękne zbiory przyrodnicze, które tu dalej gromadzić zamyśla, co i w tym kierunku rozbudzi u niektórych życie umysłowe i baczniejsze zwrócenie uwagi na naszą przyrodę. *E. B.*

Ruch rękodzielniczy.

Jest wielce pocieszającem, że pomimo ogólnego zastoju w przemyśle i handlu naszym — rękodzielnictwo nasze czyniąc wszelkie możebne wysilenia, nietylko broni się, ale postępuje naprzód.

Otóż w tych dniach zwiedziliśmy magazyn mebli „S p ó ł k i s t o l a r z y l w o w s k i c h“ przy placu Bernardyńskim; — oglądaliśmy te składy szczegółowo we wszystkich działach, zacząwszy od najprostszych mebli olchowych i z innego miękkiego drzewa, aż do wytwornych stylem i wykonaniem, dębowych, orzechowych, a nawet hebanowych. — Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że tam nie ujrzysz tej fuszerki, jaka w ogóle świeci w magazynach, które czerpią zapasy swe z Wiednia, lub rozmyślnie każą robić źle byle tanio, wziąwszy w arendę biedaków naszych, którzy usidleni przez wyzyskiwaczy, stracili już nawet poczucie uczciwości, do jakiej rękodzielnik jest obowiązany. — Otóż hasło „Spółki stolarzy lwowskich“ brzmi: — *„sumienną i umiejętną pracą, stałemi umiarkowanemi cenami, musimy prędzej czy później zwyciężyć uprzedzenie, jakie niestety panuje u nas co do wyrobów krajowych.“* — A kto się chociaż cokolwiek zna i umie ocenić taką sumienną pracę, musi przyznać, że te słowa nie są czczą blagą, ale rzeczywistością.

Kilku starych a dzielnych pionierów tej spółki, nie zacofanych, ale idących z duchem czasu — postępu, — oddało rękodzielnictwu krajowemu wielką usługę, bo zrozumiawszy doniosłość i potrzebę szkoły przemysłowej w Ratuszu, a szczególniej muzeum przemysłowego, szkoły rysunków i modelowania tamże, baczyli pilnie, aby młodsze pokolenie stolarzy, korzystało pilnie z tej nauki. Dziś są już widoczne owoce tej nauki. Bez takich sił sami majstrowie nie byliby doszli tam, gdzie dziś stoją. — Dziś czeladnik stolarski, a nawet majster młodszy, który się dawniej zaledwie podpisać umiał, innem okiem się już patrzy na swój dział rękodzielniczy. Na plan i rysunek nie patrzy się jak na zagadkowe hieroglify, znane mu już są zasady główne konstrukcyi, stylu i proporcyi kształtów, poczucie piękna. Rozeznaje szybko gotykę, styl odrodzenia, staroniemiecki, Ludwika XIV. Jeżeli więc tak przygotowany stanie do pracy w warstacie również wykształconego majstra, któremu poczucie własnej czci nie jest obce, to nie dziw, że z takiej pracowni wychodzą wyroby, zasługujące na najzupełniejsze uznanie.

Takim też wybitnym charakterem odznaczają się pracownie „S p ó ł k i s t o l a r z y l w o w s k i c h.“ Naturalnie, kto zna stosunki lwowskie rękodzielnicze, z prawdziwą przyjemnością spotyka się tam z wyrobami dębowemi ojca Marcina P r u g a r a, tego dziwnie sympatycznego obywatela stolicy; powaga, wiedza fachowa i nieskazitelność pod każdym względem — oto główne cechy jego charakteru. A „jaki pan, taki kram“ — to też i wyroby jego są prawdziwe majstersztyki. M. Prugar zrozumiawszy swoje zadanie obywatelskie, wykształcił teorytycznie i praktycznie syna na dzielnego stolarza — i dziś czytamy na firmie pracowni: — „M. P r u g a r i s y n.“ — Jakżeż to godna taka spółka do naśladowania!

Dzielnemu temu weteranowi pracy poświęciliśmy osobny ustęp w tem przekonaniu, że nie wzbudzi zazdrości u żadnego z kolegów, dla których on jest miłującym bratem.

Obok ojca Marcina — stanęli ramię do ramienia tacy również dzielni i wykształceni stolarze jak S k a l i s z Julian, B o r k o w s k i Józef, K r u k Stanisław, T e n e r o w i c z Franciszek, P e l c z a r s k i Wojciech, a dalej stary nasz D r a g a n Piotr, (który pokazuje, jakie to śliczności można nawet z naszej olchy produkować), O s t r o w s k i Alojzy, M o m o c k i Wincenty, K u b i k Adam i kilku innych, podobnież wytrwałych bojowników. Wyroby ich są tak wykonane, że mogą śmiało iść o lepsze z najpierwszymi wyrobami europejskimi. Jedynie w muzeach, które przechowują wyroby stolarskie z średnich wieków, można się z czemś podobnem spotkać. Jeżeli mówimy o meblach wytworniejszych, to niech się nikt nie zraża, jakoby i ceny na takowe kładzione, były i d e a l n e m i; — przeciwnie, ceny te są sumienne i nader przystępne. Zresztą zaznaczamy, iż zastrzegamy się przeciw niesłusznemu domniemaniu, abyśmy dla „Spółki stolarzy lwowskich“ pisali w zwykłem pojęciu reklamę dziennikarską. Nie! od tego jesteśmy dalecy — gdyż spełniamy tylko sumiennie obowiązek, jaki każde uczciwe pismo polskie przyjąć na siebie powinno.

„Spółka stolarzy lwowskich“ zasługuje na powszechne uznanie i poparcie obywateli kraju.

Kończąc, nie możemy jednak pominąć nietylko Spółce stolarzy, ale nawet nam niemiłej sprawy:

Oto — jak wiadomo, spółka ta posiada własny dom, zbudowany własnym kosztem przed kilkunastu laty. Dom ten, sąsiadując ze starym, znanym „p a ł a c e m,“ nie dawał nigdy przyczyn do sąsiedzkich kłótni, swarów, a tem mniej procesów. Jednem słowem, panowała sąsiedzka zgoda. Stało się jednak inaczej, gdy p a ł a c przeszedł w ręce innego właściciela, który rozpoczął formalną wojnę z stolarzami o różne prawa graniczne i przywileje, które dotąd nie istniały. — Naturalnie, że stolarze się bronią jak mogą od tych napaści, — bo to majątek wspólny, własność licznych rodzin, które krwawo i mozolnie pracowały, aby módz wystawić ten przytułek dla wspólnej pracy. I cóż z tego? Pan w pałacu jestto osobistość, zajmująca wyższe i wielce w p ł y w o w e stanowisko — szczególniej we Lwowie; — a tu paczka stolarzy nie chce pokornie ustąpić i oddać swych praw dla tego jedynie, aby p a ł a c rozwielmożniał się na wszystkie strony w granicach i zaświecił w całym blasku.

Obecnie skrzypią pióra, komisye prowizoryczne są w pełnym ruchu, — najazdy jakby „na Soplicę“ na stolarzy były również na porządku dziennym, a stolarze, którzy do burd nie są bynajmniej skłonni, zmuszeni byli się zmobilizować i nawet jakimiś „patykami“ bronić się od napaści pałacu. Słowem, p i e n i a c t w o pałacu wyruszyło na pozycyę — w pełnej świadomości swej potęgi.

Otóż radzimy pałacowi szczerze, niech poda stolarzom u c z c i w i e rękę do zgody, niech ich nie dręczy, nie pienia, gdyż chociaż z przykrością, musiałaby w końcu *Strażnica polska* stanąć w obronie słabszej strony, a toby bynajmniej nie było dla nas miłem.

J. N. z O. G.

Zapytujemy Swietną Radę miasta Lwowa:

Czy jej jest wiadomy przebieg sprawy wodociągów na Wulce? — Przypuszczamy, że ta sprawa nie jest Radzie miasta wiadomą, gdyż inaczej nie dopuściłaby była do ndstępstw, jakie z powodu krzywdy wyrządzonej posiadaczom młynów i pojedynczym obywatelom przez wywłaszczonie z odwiecznych praw z ich posiadłości — przyszły w udziale. Rzecz się ma tak:

Magistrat odprowadziwszy wodę z Wulki do wodociągów miejskich, która zasilała młyny i kąpiele od najdawniejszych czasów, właściciele doprowadzeni zostali już teraz do ruiny i żebraczej laski. Woda ta stanowiła ich główny i prawie jedyny zarobek — wartość realności. Na dowód, że tak jest, przyteczamy, iż młyn Lewickich został już na ostatnią licytacyę wystawiony, a to z powodu, iż nie byli w możności uiszczania rat bankowych, bo brak wody zrujnował cały ich zarobek. To samo grozi i innym właścicielom.

Upraszamy usilnie Radę miasta, w imię sprawiedliwości i łączności obywatelskiej, aby tę smutną sprawę raczyła wziąć jak najprędzej pod rozwagę i nietylko poszkodowanych wzięła pod opiekę, ale ochroniła miasto od znacznych możebnych strat, jakie z procesu wyinknąć mogą.

Być może, że miasto ma siłę do podtrzymywania i przewlekania procesu; — ale czy się to zgadza z pczuciem obywatelskiem, jeżeli biedniejsi pokrzywdzeni wyjdą na nędzarzy?

Przykroby nam było, gdybyśmy tę smutną sprawę zmuszeni byli we wszelkich szczegółach oddać pod sąd opinii publicznej.

Redakcya
Strażnicy polskiej.

Jedyna na całą Galicyę

FABRYKA

I GŁÓWNY SKŁAD BRONI



ALFREDA DZIKOWSKIEGO



we Lwowie

poleca na sezon polowań po bajecznie nizkich cenach.

PATRONY
piorunowe
wyrobu
L. MANDL & COMP.
w Wiedniu
Kaliber 16. 3. złr. — ct.
„ 12. 3. „ 50 „

Karabinki kapslowe z bagnetami		od 4 złr.	50 ct.
Pojedynki „	z patentową śrubą „	5 „	50 „
Dubeltówki „	„ „	10 „	50 „

ŁAPKI
na wilki, rysie, wydry, lisy, kuny i ptactwo, drapieżne **od 2. złr.**

Lankastrówki „Dianna" wyrobu H. Piepera w Liege od 70 złr.
Iglicówki systemu Teschnera wyrobu Collatha „ 85 „
Lancastrówki „Hammerles" „ 100 „
Repetjerki amerykańskie 6cio strzałowe, o jednej lufie w kalibrze 16tym i 12tym systemu Spencera „ 100 „

PATRONY niezawodne **LEFAUCHEUX**
100 sztuk kaliber 16 1 złr. — ct.
„ „ „ 14 1 „ 25 „
„ „ „ 12 1 „ 45 „
200 sztuk najlepszych przybitek 35 ct.
Patrony iglicowe Teschnera i Dreysego.

Na
SEZON
MYŚLIWSKI
1887
poleca

Nowość!

Oryginalne angielskie karabinki repetyery
12-strzałowe z zapałem centralnym kalibr. 44 (12m/m)
systemu i wyrobu COLTA w Londynie.



Ceny najtańsze.

Długość całego sztućca 100 ctm.
Waga „ „ 265 dkgr.
Cena „ „ 65 złr.

Jest to broń myśliwska, która uznaną została przez ludzi fachowych za najlepszą w swoim rodzaju tak pod względem precyzyi strzału, jak i wykończenia nadzwyczaj staranego. Karabinki te przewyższają wszystkie dotychczasowe systema magazynowe swoją pojedynczą konstrukcyą i trwałym mechanizmem.

Cennik illustrowany na żądanie rozsyła franco.

100 patronów ostrych z kulami 6 złr.



Oryginalnych angielskich
100 sztuk
8 złr.

Ceny najtańsze.

PATRONY LANCASTER
100 sztuk kaliber 16 1 złr. 35 ct.
100 „ „ 14 1 „ 50 „
100 „ „ 12 1 „ 60 „
200 sztuk najlepszych przybitek 35 ct.
Patrony metalowe Lefaucheux i Lancaster

Trąbki myśliwskie (praw. borówki) od 3 złr.
Laski i krzesła myśliwskie od 2 złr. 5) ct
Torby na patrony praw. juch. od 4.50
„ „ „ z baraniej skóry „ 2.50
„ „ „ płócienne od 2 złr.
TWARDOSRUT
1 klgr. 32 ct.
10 klgr. 3 złr.

Lusterka świecące w nocy zastępujące muszki na lufach, dające się używać z najlepszym skutkiem do polowań nocnych (na zasiadki). Cena jednej sztuki wraz z opisem użycia 1 zł.
Kule ograniczone stożkowe, ex-plodujące, rotacyjne i t. d.
LOTKI kauczukowe.

Expressy podwójne jak najlepiej ostrzelane w kal. 450 i 500 od 100 złr.
Büchs-Express w kal. 16/450, 12/500 i 12/570 „ 100 „
Trzylufki „Drillingi" najnowszej konstrukcyi, „ 100 „
Oryginalne angielskie Lancastrówki, wyrobu Skotta, Gremera, Braendlina, Hiadsona i innych „ 100 „

PRZYBORY
do
Szermierki.
Potrzeby uniformowe dla leśników.

Dubeltówki Lefaucheux z najnowszemi zamknięciami	od	**18·50.**
„ **Lancaster** „ „	„	**22·50.**
Pałasze dla straży leśnej i polowej	„	**3·50.**

Jedyny skład
PIGUŁEK
dla psów przeciw nosaciźnie i psiej chorobie
WYROBY
Karola Hossońskiego.

Rewolwery

w najrozmaitszych systemach i kalibrach
od **3·50.**

Sztućce salonowe Floberta od	8 złr.
Pistolety „ „ „	4 „
„ wiatrowe w szkatuł „	6 „
Boksery i kastety angielskie „	1 „
Futerały na strzelby „	2 50.

Manierki, klucze do patronów, kordelasy i **noże myśliwskie.**

C. k. uprzyw.



GŁÓWNA SPRZEDAŻ SPECYALNYCH
GATUNKÓW
PROCHU STRZELNICZEGO
po cenach przez Rząd ustanowionych.

Skórzane kurtki myśliwskie

z podszewką wełnianą, podług systemu prof. Jägera, w kolorze czarnym i bronzowym, nadzwyczaj praktyczne od 16 złr.

Kaftaniki i kamizelki wełniane,
pończochy i rękawiczki do polowania i jazdy.
KAMIZELKI ŁOSIOWE.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **J. N. z Oleksowa Gniewosz.** Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek, L. 9.
Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego.